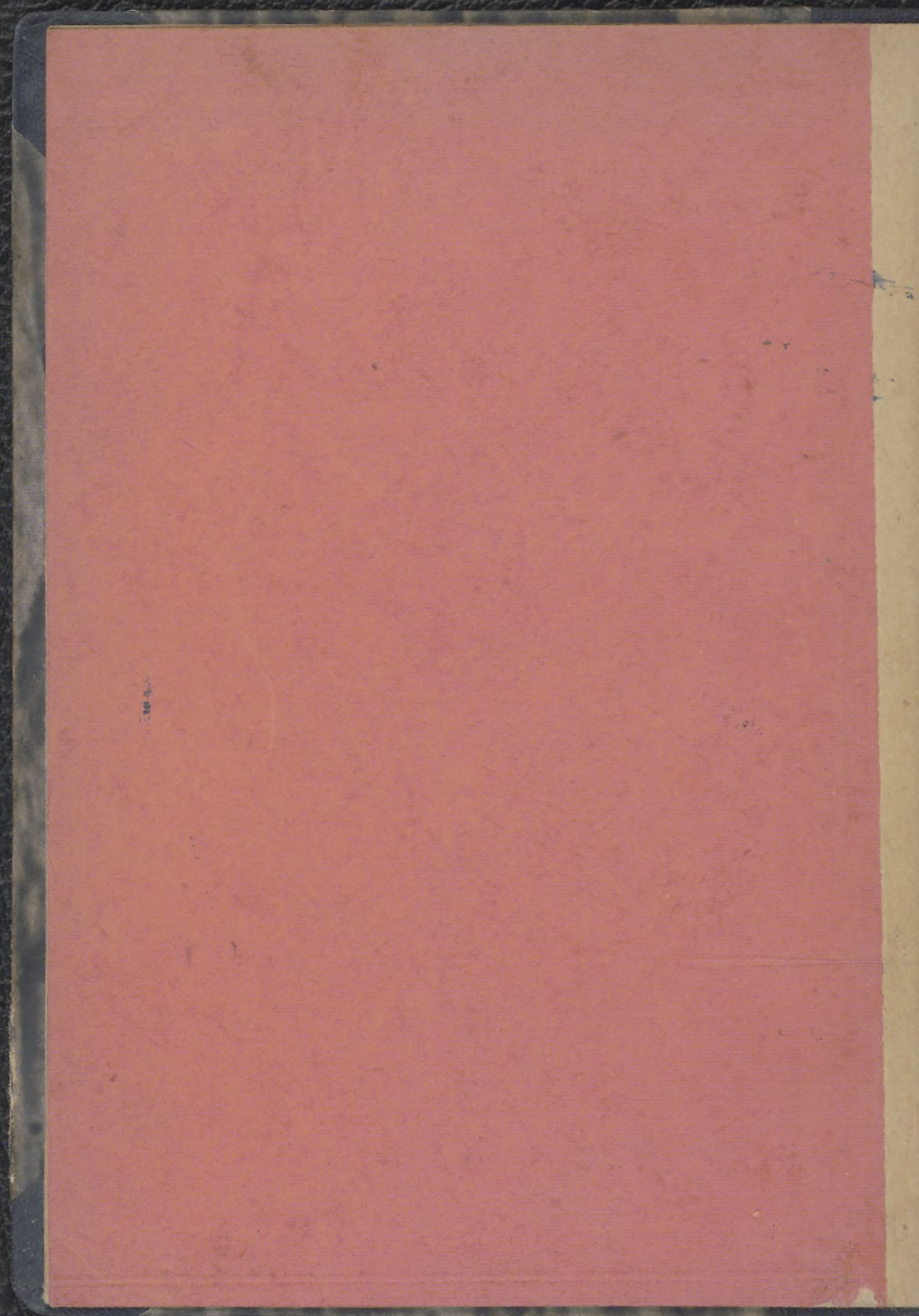


**PAWEŁ STAŚKO**

**PRZYGODA  
LEŚNEJ RUSAŁKI**



**WARSZAWA \_\_\_\_\_ 1933**  
**BIBLIOTEKA ECHA POLSKIEGO**



KOMISARJAT  
m. st. WARSZAWY

Exemplarz obowiązkowy

Nakład 25 00 egz.

dnia 15 VN

1933  
PRZYGODA  
LEŚNEJ RUSAŁKI



# Biblioteka Echa Polskiego

DWUTYGODNIK

ROK III

LIPIEC 1933

TOM LVIII



REDAKTOR I WYDAWCA  
JAN STYPUŁKOWSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA  
Warszawa, Aleje Jerozolimskie Nr. 15 tel. 670-31



PAWEŁ STAŚKO

**PRZYGODA  
LEŚNEJ RUSAŁKI**

POWIEŚĆ FILMOWA



H. 452

WARSZAWA \_\_\_\_\_ 1933  
BIBLIOTEKA ECHA POLSKIEGO

I 600.04 2

Odbito w części nakładu  
„Biblioteki Groszowej”  
w „Drukarni Banko-  
wej” Warszawa,  
Moniuszki  
11.

I 600.204

## RUSALKA Z ROSY I LEŚNYCH KWIATÓW

Wschód słońca rozlał się złotem po sulisławskim borze. Rzekłbyś, że się zaczęło jakieś niezwykle święto w rozbudzonej naturze. A przecież to tylko schyłkowy maj otrząsnął się ze zmierzchu pogodnej nocy i jak možny królewicz rozsiał po świecie symfonię radosnych blasków.

Stary, głęboki las zdawał się drzeć od niezliczonych ptasich śpiewów. Rośne powietrze, przepełnione zapachami żywicy i paproci, wpływało w piersi rzeńskim potokiem zdrowia i wprost żywiołowej radości. Radość ta nie posiadała granic ani jakichś uchwytnych celów, była tylko przenikającą nawskroś mocą, porywającym w przestrzeń czarem, porywem, chaosem nieokreślonych pragnień. Każda trawka, liściek paproci, igielka sosny, i ten las nieprzejrzany, i to niebo błękitne, i te chóralsne śpiewy, to wszystko, co ogarniały oczy — ciągnęło ku sobie duszę ludzką, pełną zachwyty,

prosiło o spojrzenie, pieszczotę, o przygarnięcie i pocałunki. Wszystko to miało swoją mowę, powab i niewysłowne obietnice.

O takiej porze wyspana Hanka Miłosielska wyszła na ganek leśniczowski. Dwa kroki może postąpiła i stanęła jak wryta. Jakby ją urzekł ów majowy, leśny poranek. Prędkim ruchem obu dłońmi chwyciła się za piersi, jakby w obawie, aby fala uroku nie rozerwała ich z radości. Stała tak chwilę w tej zachwyconej pozie, jak wstrzymana w biegu rozswawolona sarna, cudna i świeża, jak ten wiosenny ranek. Zdawało się, że ów wschód słońca uwił ją z rosy i leśnych kwiatów.

— Och, jakież śliczny i rozkoszny poranek!— zawołała rozpromieniona szczęściem.

Chabrowe jej źrenice poczęły witać w jednej chwili pogodne niebo, to las, przeświecłony strzałami blasków, a wreszcie grzędy kwiatów przed oknami.

— Dzieńdobry, moje kwiatuszki...

I naraz wbiegła między kwiaty, niby rusalka.

— Moje kochane, ani nie wiecie, że was zaraz opuszczę... Jadę do miasta, brrr! Lecz nie nadługo, tylko na cztery dni, na ślub kuzynki Rysi. Jakżebym dłużej mogła żyć bez was, moje ślicznotki!

Brała w troskliwe dłonie otaczające ją rośliny nie bacząc, że na buciki, ubrane do podróży, spada jej rosa obfitemi kroplami.

— Jakżeś hoża dzisiaj, grzebionatko!—poczęła mówić pieszczotliwie.—O, i firletka już śmieje się do słońca... A ostróżka śpi jeszcze? Nie czu-

jesz, śpioszku, jak wilec otacza cię miłośnie i pnie się do twej buzi? Pamiętajże, witulko, że gdy powrócę, byś już rozkwitła... I ty, żeniszku, również... Wy, malwy, trzymajcie tu porządek! Niech mi się tu zazierka nie klóci z dzianwą! Ty, tulajko tak się znów śmiało nie rozpychaj... Lewkonje również mają prawo do słońca i nie wolno ich cenić... Nie drzyjże, czułku, bo cię na pewno nie nadeptam... Zresztą, ochronią cię balsaminy... Niecierpku, dlaczego się tak lękasz? Boże uchwój, ani jednego kwiatka tu nie zetnę, bukiet bowiem kupię w Warszawie.. Gdzież jabym was, kochane, wywoziła do miasta? Z lasu na bruk? Och, nigdy! Więc zostańcie mi zdrowe i grzeczne, moje kwiatuszki! Pał smagliczko! i ty szarłacie! i ty, milutki ognioślepkul!

Obejmowała rozkochanemi żrenicami swoje królestwo kwietne i żegnała je czule. Wszak sama kwiaty te posiadała, pełta i wychowała w trosce. Więc je kochała jak swoje młode życie, jak ów sosnowy bór i jego głębię tajemniczą. Dobiegał rok, jak po skończeniu warszawskiego liceum wróciła do owej leśnej głuszy, wśród której ujrzała światło dzienne i spędziła dziecięce lata. Okres kształcenia w stołecznem mieście był dla niej wprost więzieniem. Z jakąż tęsknotą oczekiwała zawsze świątecznych feryj i wakacyj! Zgiełk miasta męczył ją strasznie. Przyroda od pierwszych chwil wszczepiła w nią umiłowanie słońca, zieleni i błogiej ciszy i to umiłowanie zachowała do dzisiaj. W lesie, wśród słodkich szumów i swoich kwietnych grządek czuła się najszcześliwszą.

Książki i fortepian starczyły jej za resztę towarzystwa. W domu, nie licząc służby, było ich tylko dwoje—ona i ojciec, leśniczy lasów barona Hibla. Matka od kilku lat nie żyła, a brat jedyny, Sławek, służył w Warszawie jako oficer-lotnik. Oczywiście, dziś jeszcze spotkają się u Rysi. Kwartał już ubiegł, jak się ostatni raz widzieli.

Prawie Hanka opuszczała swe grządki, gdy ojciec ukazał się na ganku. Były zeń czerstwość, pogoda i dobroduszość, owiana pełną spokojną jowialnością.

— Haniu, już czas na ciebie, konie czekają. Bójże się Bogal—zawołał nagle, spostrzegając jej mokre pantofelki—urosiłaś całe buciki!

— To nic, zanim dojadę do stacji, słońce mi je osuszy. Och, jakże mi się nie chce jechać! — zawołała, wieszając się na szyi ojca.

— Trudno, masz obowiązek i przyrzekaś—odrzekł, choćby po stokroć wołał, by się z nią nie rozstawać.

W tej chwili wilczur wysunął się ze sieni i pocałował „służyć” przed swą panią.

— No, Doksie, bywaj zdrow, a nie leż mi na grządkach!

Poklepała po głowie wierne psisko, za co znów wilczur poliznął ją po ręce. Czuł, że pani odjeżdża, co zdradzał niecierpliwem skomleniem.

— Przeprós więc, dziecko, wszystkich, że nie przyjeżdżam razem z tobą—mówił dalej leśniczy—lecz jak widzisz, nie mogę: po pierwsze, muszę odstawić drzewo do tartaku, a wreszcie, co ja tam będę robił między wami? Ślub dopiero w sobotę

zatem w sobotę przyjadę południowym pociągiem i akurat wystarczy.

— Dobrze, tatusiu, tylko przyjeżdżaj! Naprawdę pragnęłabym, abyśmy razem już stamtąd powracali! Niema jak u nas w lesie!

Siwiejące wasy ojca znowu spoczęły na jasnym czole nad wszystko umiłowanej jedynaczki.

Za kilka minut Hanka siedziała już na bryczce. Żegnano ją, jakby na koniec świata odjeżdżała. Doks poszczekiwał i wyl w kuchni, gdzie go chwilowo uwieziono. Gdyby nie to, toby mimo zakazu, pobiegł wślad swojej pani.

Ruszono z miejsca. Bryczka posuwała się niezbyt szybko po piaszczystym gościńcu. Wasząek podskakiwał co chwila na korzeniach, które z pobliskich sosen wrastały w drogę. Uroczą pasażerka nic sobie z tego nie robiła, bardziej bowiem wolała te wyboje, niż najrówniejszą asfaltową ulicę. Wprost wierzyc się nie chciało, by to rozkoszne dziewczę, zda się, urodzone do wygod i odbierania hołdów, tak organicznie związało się z przyrodą. Puszyste mchy przenosiła nad plusze, polanki leśne nad wspaniałe gazony miejskich parków, śpiew ptaków nad wszystkie instrumentalne dzieła. Tu śpiewała natura, żywa, zapatrzona w swe nieskalane piękno, bóstwem wachniona — a tam zaś jakaś sztuczność, wprawdzie niezwykła, nawet wyżynna, jednak już inna, och, inna! Taką widziała w tem różnicę, jak między kryształową kryniczną wodą a pieniaćem szampańskim winem.

Po półgodzinnej jeździe bryczka wtoczyła się

na główną szosę, przecinającą wieś Sulisławce. Opoдал widniała okazała rezydencja barona Hibla. Szosa przechodziła tuż prawie obok.

Hanka jakgdyby z lękiem i niesmakiem spojrziała w ową stronę, poczem zaraz spuściła oczy na desenie ceraty, którą podłoga bryczki była obita. Mimowoli wstrząsnął nią dreszcz, jak zawsze, ilekroć razy tędy przejeżdżała. Nie przeczuwała jednak, że w owym parku, który mijiała właśnie, ktoś czyha na nią... że w czyjeś głowie szaleją dzikie, zbrodnicze plany... Że ktoś w tej chwili pobiegł w stronę pałacu i coś się zacznie...

Myśli Hanki były wprowadzicie w pałacu w tejsze chwili, jednak jakże dalekie, nawet wprost obce temu, co już zastało szatańsko nakreślone. Jej stanął w oczach duszy Zygfryd Hibl, syn staroego barona, przystojny, chociaż starty już życiem młodzian, zdobywca serc panieńskich, hulaka, a przedewszystkiem jej zawzięty i zagniewany prześladowca.

Był czas, że Hanka nawet go lubiła, kiedy podczas minionych wakacyj począł do nich zajeżdzać, był elegancki, gładki, umiał barwnie i zajmująco opowiadać, a już dla niej był wprost uderzająco grzeczny i oddany. Aż się dziwiono w domu, że o młodym baronie krążą zgoła inne pogłoski. Zygfrydowe wizyty poczęły stawać się częstszemi, a celem ich były nie pogawędki w zacisznej leśniczówce, ani przejażdżki po lesie, lecz oczywiście była Hanka, pachnąca baronowi czarem dzikiej maliny, jak ją w duszy określał.

Tak częste odwiedziny począł leśniczy podej-



rzewać i patrzeć na nie mocno stroskanem okiem, chociaż nie okazywał tego. A Hanka? Ją w pierwszych chwilach to bawiło..

Powoli jednak gładkość pana Zygryda, nie osiągnąwszy zamierzonego celu, poczęła zmieniać swoją barwę. Stawał się bardziej natarczywy, nazywał zakochany, cierpiący. Aliści Hanka, poza zwyczajną i szczerą sympatją, niczem więcej nie mogła darzyć bogatego „panicza“, a nawet jego widok począł coraz to bardziej napawać ją bojaźnią. Rozmawiała z nim może nawet i chętnie, jednak kryła źrenice przed jego dzikim, pożerającym wzrokiem. Poglądy ich, przedtem bliźniacze, teraz dość szybko poczęły się rozbiegać. Wytworność ją zastępować cynizm. Aż dnia pewnego na jesieni, w czasie nieobecności ojca Hanksi, miłość Zygryda zrzuciła z siebie maskę. Nie mógł już panować nad zmysłami, a na cierpliwość, dotychczas bezowocną, już miejsca w nim zabrakło. Wtedy podstępnie, wśród burzy próśb, obietnic, błagań, a wreszcie gróźb, porwał w oszalałe ramiona przerażoną do największego stopnia Hankę, sycząc czartowsko:

— Kocham cię do obłędu!— musisz być moją! —lub śmierć nam razem!!

Lecz zanim walka zaczęła się naprawdę, ktoś naraz stanął po stronie napadniętej—to obecny w pokoju potężny wilczur Doks... W jednej chwili w furji skoczył na plecy napastnika, że tenże, jak porażony puścił z brutalnych ramion Hankę, Hanka, na widok tak wiernego obrońcy, w jednym momencie opanowała wzburzone nerwy. Z trudem uspo-

koła psa, poczem rzuciwszy pod adresem brutalą: — „Fel to podłel brzydę się teraz panem i znać go nie chcę!“ — wyszła z psem do ojcowskiego gabinetu i tam zamknęła się na klucz. W pierwszej chwili chciała wyjść na podwórze, aby zaalarmować służbę, nie chciała jednak dopuścić do skandalu. Gróżb napastnika nie bała się bynajmniej, gdyż nie wierzyła w nie zupełnie, tem bardziej teraz, kiedy poznała ową miłość.

Po dobrym kwadransie niefortunny amant dosiadł wierzchowca i milczkiem pognął w las.

Kiedy Hanka wróciła, później do pokoju, zastała kartkę na stoliku z następującem oświadczeniem:

„Przepraszam bardzo za moje wstrętne zachowanie, jednak miłość do pani do tego stopnia oślepiła mi oczy, że stracił panowanie nad sobą. Co zaszło nie powtórzy się więcej. Nie uzyskawszy upragnionej wzajemności pani, raz na zawsze usuwam się z Jej drogi. Jestem głęboko przekonany, że dobre wychowanie Pani nakaze Jej rzucić na ten incydent zasłonę bezwzględnej dyskrecji i zapomnienia. Jeszcze raz przepraszam mocno i proszę o wybaczenie“.

Po owem zajściu pan Zygfryd wyjechał wkrótce zagranicę, a gdy powrócił wczesną wiosną, do leśniczówki już nie zajrzał. Na „dobrem wychowaniu“ Hanki nie zawiodł się zupełnie — zajście zostało tajemnicą. Podobno młody baron znów teraz zamierzał wyjechać do Egiptu.

Opisane wspomnienie przyszło obecnie na myśl Hance i dlatego prawie z obrazą odwróciła zre-

nice od fasady pałacu, nie bacząc, że w tychże samych murach jest drugi baron Hibl, ich chlebobdawca, człek godny, dobry i ojca jej wyjątkowo ceniący.

Jakoż bryczka minęła szybko zabudowania dworskie i raźnie sunęła dalej pośród rozległych pól.

Hanka odetchnęła swobodniej. Ogarnęła ją przestrzeń, pokryta łagodną zielenią zbóż, opalizująca słonecznymi blaskami, cicha i jakby rozmodlona.

Przykre wspomnienia Hanki rozwiały się jak mgła.

Po chwili jednak przyszyły do niej cichutko inne. Przyszyły jak miły gość, dość rzadki, oczekiwany zawsze wtedy, gdy jakiś smutek wgryzał się w serce. W takich chwilach dusza Hanki łaknęła przyjaciela, serdecznych spojrzeń, pociechy. Chciała się wtedy zwierzać, lecz do tych zwierzeń już nie wystarczał ojciec, ani nawet taki wierny powiernik, jakim był dla niej las. Niejeden już mężczyzna dążył do uzyskania od Hanki łaski takiego zaufania, jednak napróżno. Żadnego nie mogła tem obdarzyć, choć tyle było pokus. Czowała atoli, że jeden człowiek wart był przyjaźni, wielkiej, gorącej i że na nim nie zawiodłaby się nigdy. Tego człowieka znała tylko z widzenia, z ostatnich miesięcy swoich lat szkolnych. Do końca życia nie zapomni jego spokojnych, jasnych, głębokich oczu. Codziennie widywała je wtedy w Alei Ujazdowskiej. Prawie zawsze, idąc do szkoły, spotykała się z nimi, jak z przeznaczeniem. Czy tego nieznanego pana, młodego, przystoj-

nego szatyna, były wprawdzie pogodne, ale nigdy wesołe. Najczęściej nawet lekki cień smutku je okrywał. Może to nie był prawdziwy smutek czy ból ukryty, może to tylko chowane w głębi rozmarzenie gwałtem garnęło się do źrenic? W każdym razie zauważyła Hanka, że w pierwszych dniach spotkania w oczach tych była radość, jakieś słodkie zdumienie, a później, z biegiem tygodni, radość owa przygasła. Dlaczego? Zawsze jednakże oczekiwała chwili, kiedy ujrzy je znowu, gdy ją obejmą swem aksamitnem ciepłem, a ona, drżąca i nieśmiała, gdy im swoim spojrzeniem podziękuje za ów przyjazny objaw.

Były chwile przy zakończeniu szkolnego roku, iż pragnęła, by nieznamy przystąpił do niej, aby przemówił, aby w te oczy mogła spoglądać dłużej. Niestety! Jak jej się wydawało, sam pewnie pragnął tego, ale czy nie mógł, czy nie śmiał—nie mogła pojąć. Nie zważając na formy, czuła przez to do niego żal. Bo jakże wiele mówiły jej te oczy, ta miła, pełna dobroci twarz. Czuła, że przylgnął do niej, że o niej myśli, że tylko na nią czeka... i to samo również zwierzała mu krótkim, lecz wymownym spojrzeniem... więc dlaczego ani razu nie podszedł do niej, kiedy oddawna czuli się przyjaciółmi, kiedy nie tajemnicza już ich złączyła?

Dopiero kiedy była w kolejowym wagonie, kiedy pociąg już ruszył, wtedy spostrzegła go wśród tłumu, i wtedy ukłonił się jej tak jakoś przejmująco i taki smutek ogarnął nagle jego twarz, że Hankę porwał płacz. Jednak widziała

poprzez łyzy, że on w tymże momencie wyrwał się z tłumu i począł biegnąć za pociągiem, nieestety, było już za późno i przeszkodzono temu.

Przez dłuższy czas pobytu w domu nie mogła po tem zdarzeniu wrócić do równowagi, aż wreszcie czas utulił to wspomnienie, że usnęło ci-chutkie, budząc się tylko od czasu do czasu i kwiląc jak pisklątko.

I właśnie teraz w duszy Hanki obudziło się znowu, ale już nie jak pisklę, lecz jak ptak uwięziony, jak przejmujący żal.

...Gdzie są obecnie te przyjacielskie, dobre oczy? Czy jej szukają? Czy nie zapomną nigdy? Czy się spotkają jeszcze?

Może zobaczy je w Warszawie, na tej samej Alei? Och, dałby Bóg! Wtedy już sama, na nic nie bacząc, podeszłaby do niego i powiedziała szczerze:—„Panie, ja płakałam za panem... Ja pana polubiłam bardzo, bardzo“.

Naraz jakoweś kryte, niebieskiego koloru auto minęło bryczkę Hanki. Konie sploszyły się cośkolwiek od donośnej syreny, jednak wprawna ręka woźnicy uspokoiła je za chwilkę.

Myśli Hanki znowu wróciły do Warszawy. Och, cóżby dała za to, ażeby mogła spotkać nieznanego przyjaciela! Dlaczego wszedł jej w drogę życia i niemym został? POCO oczyma kładł się przed jej stopami? Dlaczego tak przepastnem spojrzeniem witał ją zawsze? Czemu biegł wówczas za pociągiem? Że płacz jej dostrzegł? Żeby on wiedział, ile jej las-powiernik usłyszał o nim... że raz nawet z nią płakał! Ale to było dawno,



zeszłego lata... Dziś już nie płacze, przeszło... Dziś tylko czasem westchnie i zaduma się cicho.

Rozsłoneczniony dzień, zielone pola i to żywe wspomnienie zlały się w duszy Hanka w jakąś rzewną tęsknotę, w bezsilny, a tak łaknący poryw, że gdzieś głęboko lży jej się jęły rodzić.

Gdy już naprawdę poczęły wzbierać i cisnąć się do oczu, bryczka stanęła przed stacją. Jedyne bagażowy na tej małej stacyjce wziął z kozła walizę Hanka i oznajmił, że kasa biletowa już otwarta.

Za chwilę Hanka była już u okienka. Tuż za nią stanął elegancki, młody mężczyzna o pięknym, orlim nosie. Zawiewał silną, lecz dość miłą perfumą. Odchodząc, słyszała, że również do Warszawy bierze bilet.

Hanka wprost od okienka wyszła na niewielki peronik, ocieniony girlandami dzikiego wina. Pociąg miał przybyć za dziesięć minut.

Tymczasem pan o orlim nosie pobiegł do stojącego opodal przed stacją samochodu i wstawił głowę w otworzone okienko.

— No, co? — zapytał niecierpliwie młody elegant, wewnątrz siedzący.

— Tak, jak mówiono: kupiła bilet do Warszawy. Już jej nie spuszcze z oka. Resztę już wiesz... Wal zatem z miejsca, będziesz o trzy kwadransy wcześniej od nas. Moja „Lancia“ nigdy cię nie zawiedzie. A nie zapomnij o benzynie!

Uścisnęli sobie mocno ręce, poczem zaraz o-zwał się cicho motor. Wytworna niebieska „Lancia“ pomknęła naprzód, a za nią tuman kurzu.

Właściciel orlego nosa wypalił papierosa i szedł wolno na peron.

Za chwilę gwizd pociągu oznajmił swe przybycie. Zabiło mocniej czyjeś młode serduszko, bo może tam, na znajomej Alei, zjawia się jeszcze owe dobre, niezapomniane oczy..

## II

### PORWANIE

Pan z orlim nosem tuż za Hanką wsiadł do wagonu. Jednakże nie wszedł za nią do przedziału, bowiem zajęła w nim ostatnie wolne miejsce. Został zatem na korytarzu, zapalając świeżą, wytworną cygaretkę.

Gdy pociąg ruszył, oczy nieznajomego padły ukradkiem na postać Hanki, pełną świeżego wdzięku i jakiejś zdrowej, prawie niespotykanej urody. Wślad określenia przyjaciela powtórzył sobie w duszy, że rzeczywiście wieje od niej żywiczny zapach lasu i dzikich kwiatów. Że w ciele jej płynie dziewicza krew, krew nigdy ogniem nie dotknięta, jak gdzieś w ruczaju kryniczny strumyk. Subtelny meszek, jaki pod światło dostrzegł nad jej wilgotnymi ustami, porównywał z brzoskwińowym owocem, który tylko co dojrzał w słońcu. W jednej chwili ocenił okiem znawcy, że ta młoda rusałka może w nieokiełzanych nerwach



wzbudzić wprost bezpamiętny szal, choćby ten nawet stał się zbrodnią. Wreszcie, że warta, aby w kryształowym pałacu stać się boginią i siać najcudowniejsze szczęście. W każdym jej ruchu czy kształcie znajdował tyle nieskalanego, naturalnego czaru, ile posiada go rozkwitający pączek róży. Swobodny dotąd jego oddech począł się stawać cięższy, dławiący, jakby urzekła go ta postać. Widząc ją zbliżającą, nie dziwił się zupełnie przyjacielowi, że ten oszalał i zdecydował się na rzecz już ostateczną, bo na porwanie leśniczanki. Natomiast począł się bić z myślami—dlaczego nie zdobywał jej na żonę, z żywiołowej miłości, jaka powinna go ogarnąć, lecz tylko poto, aby z jej ust wypić chwilowo wszystkie nektary. Wypić podstępem, gwałtem, dosyta i uspokoić zwarjowane żądze. A przecież warta była więcej, bo uwielbienia i najwyższej miłości. To odczuł, patrząc na nią, i dreszcz go przeszedł, że sam współdziała w zbrodni. Lecz był to tylko przemijający odruch ostatnich włókien niewygasłego jeszcze szlachetnego poczucia. W tej chwili bowiem uderzyła go w zmysły gwarantowana pewność, że i on przecież z tych koralowych ust zakosztuje rozkoszy...

Wchłonał w płuca dym papierosa i gryzł wargi zębami, że nie on pierwszy będzie miał możliwość wpić się w ten kwiat. Mimo to jednak poił się teraz skrycie jego świeżością, tak, jak się może napawa czart niebiańskim snem dziecięcia.

Hanka jakby odczuła to spojrzenie, bo odwróciła głowę ku otwartemu oknu i tęskniami oczyma

spojrzała na runie zbóż, złudnie gdzieś wstecz biegnące. Daleko na widnokręgu siniała smuga lasu. Przypomniał się jej przeto dom rodzinny we wnętrzu tego boru. A więc ojciec, którego pożegnane pocałunki czuła jeszcze na czole—klombiki kwiatów, czereda drobiu i gołębi, żalosne wycie uwięzionego psa... Akurat może teraz jest nawprost leśniczówki. I znowu czyjeś dobre oczy padły na kanwę owych myśli... I ten ukłon na kolejowym dworcu... i pogoń za pociągiem... I znów kochany wilczur, gołębie, wreszcie kuzynka Ryska... Aliści wszędzie towarzyszyły jej te wprost fatalne oczy. Aż się wstrząsnęła, że tak ją dzisiaj prześladują. Wszak już zasnęły przecież, już je mgła tyłu miesięcy zasłoniła... Naprzekór rozczuleniu, podrażniona wspomnieniem, prawie cierpiąca, jęła się bronić przed ich napastną mocą, jednak bez skutku. Nie dały się odpędzić, stały się nawet błagające, żebrzące łaski, tak, że Hanka nietylko walce zaprzestała, ale skłoniła na pierś główkę i w tych źrenicach jasnych zatoneła duchowo całem swoim istnieniem.

Pociąg zaś gnał i wystukiwał jakieś rytmy, mijał przydrożne wsie, miasteczka i niósł rusalkę leśną nie na weselne gody, ale w paszczę potwora...

Było już po południu, kiedy sapiący parą i zdyszany zatrzymał się u kresu długotrwałego biegu, w Warszawie.

Hanka wypłynęła z tłumem przed dworzec. Była pewna, że nikt po nią nie wyjdzie, nie wiedząc, o jakiej porze przybędzie do stolicy. Pan

z orlim nosem posuwał się tuż za nią, poczem w odpowiedniej chwili podniósł do góry łaskę, jakby znak komuś dawał. Prawie Hanka zeszła ze schodów, gdy podbiegł do niej szofer.

— Proszę pani, służę taksówką — zaofiarował się bardzo uprzejmie i, nie czekając odpowiedzi, zwrócił się do bagażowego po jej walizkę.

Los Hanki zawisł na włosku. Od niej w tej chwili zależało, by pokrzyżować czyjeś potworne plany, które obecnie rzucono na traf szczęścia. Niestety, instykt jej nic złego nie przeczuwał. W strasznej nieświadomości, że wydaje na siebie wyrok, skinęła głową szoferowi i podała mu adres. Teraz pan z orlim nosem szybko wsiadł do następnego krytego samochodu. Oba auta ruszyły w ulicę Marszałkowską. Hanka знаła Warszawę, jednak kierunek jazdy nic ją w tej chwili nie obchodził. Tłum wielkomiejski ją pochłoniął, syreny, dzwonki, ruch ogłuszyły jej duszę, przywykła do leśnej ciszy.

Naraz, może po trzech minutach jazdy, jakaś tajemna siła zwróciła gwałtem oczy Hanki w uliczny tłum. Był to bezwzględny, ocknięty nagle duchowy nakaz. Nim upłynęło kilka sekund, z tego rojnego tłumu rzuciło się ku Hance czyjeś spojrzenie... I padło na jej oczy jak błyskawica, wprost oszałała szczęściem, niemal krzycząc ludzką mową.

Hankę, zdumioną do ostatecznych granic, aż zamroczyło w głowie. To był on... Ten z Alei... Ten nieznan, a tak bliski przyjaciel... To były jego oczy...

Mijając go, odwróciła się za nim całą twarzą. A nieznajomy stał jak wryty, jak nieprzytomny.

Chciała zawołać na szofera, aby przystanął, jednak owo wrażenie było tak wielkie, tak niespodziane i przejmujące, że jej chwilowo zaknebłowało usta i równocześnie ubez władniło ręce.

Taksówka mknęła... Tłum go zasłonił...

Hanka nie ochłonęła ani trochę. Już nie widziała prawie nic, świat w oczach jej wirował. Zaledwie strzępy myśli tłukły się jej o ściany czaszki: „Przeczułaś go... Kochasz go i on ciebie... Przecież przeczucie owo i spotkanie mówi ci wszystko... Wsiądź, póki czas jeszcze... spotkasz go na ulicy... może nawet biegnie za tobą...”

Lecz nie wysiadła. Pragnęła tego, lecz nie mogła, coś ją przykuło do siedzenia i odebrało wolę.

Taksówka minęła kilka ulic, kiedy Hanka cośkolwiek przysła do siebie. Teraz ból dziki uchwycił ją za serce. Dlaczego zaraz nie wysiadła? Co się z nią stało, że tak straciła pamięć? Może zawrócić jeszcze?

Lecz woli nadal jej nie stało. Tylko żal straszny ją ogarnął i lzy jej w oczach zaświeciły.

Jednakże w tej chwili jedna myśl litościwa wyzwoliła się z tego skłębionego chaosu.

— Nie rozpaczaj—szepnęła—nic nie przepadło... Dziś jeszcze spotkasz go na ulicy... Już wie, że przyjechałaś, zatem cię szukać nie przestanie... Uciszyć się, ucisz... radość wielka czeka na ciebie... miłość i szczęście...

Na rogu ulicy Senatorskiej taksówka zwolniła

w biegu i przystanąła. Szofer wyskoczył z wozu i zbliżył się do Hanksi.

— Bardzo panią przepraszam, ale mi motor zdefektował... Naprawa potrwa pewnie dłużej, zatem kolega mój, ot tu stojący, odwiezie panią...

Hanka wysiadła, jak automat. Obojętnem jej było, że musi się przesiadać. Umysł jej, jako tako przychodzący do ładu, zajęty był czem innym.

Drugi szofer już jej otwierał drzwi pięknej niebieskiej limuzyny, marki Lancia. Hance nawet przez myśl nie przeszło, dlaczego wóz jest kryty, choć dzień taki pogodny. Nie pomyślała również, że auto o takimże kolorze minęło ją już dzisiaj na sulisławskiej szosie. Co ją to wszystko obchodziło, ażeby miała o tem myśleć? Więc się przesiadła i wóz natychmiast ruszył miękko, jak po dywanie.

Wśląd za Lanią ruszyło inne, również kryte auto, własność barona Hibla.

Myśli Hanksi poczęły wolno się gromadzić, jednak jeszcze leniwie. W każdym razie postanowiła już, że jak najprędzej wyjdzie z Ryską do miasta w poszukiwaniu tych magnetycznych oczu... I była pewna, że je odnajdzie jeszcze dzisiaj, że je wyczuje w tłumie, jak to się stało przed kilku minutami.

Naraz jakiś mdły zapach począł drażnić jej nozdrza. Cóżby to było? spaleniżna benzyny? Czemś pokrewnem zalatywał ten zapach.

Aliści każdy oddech począł jej szybko mącić w głowie, rozleniwiać ręce i nogi i mgłą zasnuwać oczy. Czula zdziwiona, że wprost gwałtownie

poczyna w sen zapadać. Lęk począł ją ogarniać. Miała jednak jeszcze na tyle władzy w sobie, że zastukała silnie w szybę, oddzielając ją od kierowcy auta. Ale ten był jak głuchy...

Już po raz drugi omdlewająca ręka Hanki nie dosięgła do szyby... Opuściły ją siły. Przymknęła oczy i bez krzty władzy usunęła się ciałem w kątek głębokiego z miękkiej skóry oparcia. Pamięć odbiegła ją zupełnie i w sen zapadła, jak w toń bezdenną...

A ktoś w tej chwili gnał Marszałkowską, wynajętą taksówką, pochylił się nad uszyna szofera i wskazywał mu drogę... za podszepciem instynktu skręcił w Królewską, na Plac Saski, w Wierzbową... lecz już na Senatorskiej stracił poczucie oszalałej gonitwy, zatrzymał się bezradny i zrozpaczony, ledwie na nogach mogący się utrzymać. Na wszystkie strony przebiegały auta, lecz tego, które uwiozło jego zjawione szczęście, tego już nie dopędził, to zniknęło bez śladu. Zły los postanowił inaczej...

Tymczasem dwa tajemnicze samochody przez most Kierbedzia mknęły ku Pradze, by po kilku minutach skierować się na szosę, wiodącą gdzieś ku Mławie...

Daleko poza miastem, wśród pól, na pustej szosie, Lancia zatrzymała się w biegu, a tuż za nią drugie auto. Pan z orlim nosem wyskoczył raźnie na gościniec, jak również i pan baron. Rozglądnęli się wokół, nie było blisko żywej duszy.

Po krótkiej rozmowie z szoferem, obaj panowie podeszli szybko do Lancii.

— Śpi!—szepnął kierowca, uśmiechnięty.—Utajony rozpylacz działał piorunująco. Biła w szybę, jednak udałem że nie słyszę...

— Bravo!—zawołał rozpromieniony Hibl.

Obaj panowie bezzwłocznie znikli we wnętrzu limuzyny. Lancia zachłysnęła się gazem i niby strzała pomknęła dalej ku północy...

Pozostałe auto, własność barona Hibla, jęło zpowrotem zawracać ku Warszawie.

Wszystko się stało wedle obmyślonego planu, nic nie zawiodło. Dyskrecja wiernych, sownie wynagradzanych szoferów, nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Zresztą podobne eskapady zdarzały się już nieraz. Zygfryd Hibl i jego brat cioteczny o orlim nosie, Hans Steinbock, obywatel polskiego pogranicza Prus Wschodnich, umieli żyć niezwykle. Zda się, urok miłosnych przygód był dla nich jedynym celem życia i jedynym zajęciem. Ileż podobnych przygód już przeżyli, ile podstępnie złowili ofiar! Ni razu dotąd nie zawiodło ich szczęście, jakgdyby było z nimi w zмовie. Jak najpomyślniej zaczęła się i dzisiejsza przygoda, ot, już wiozą ofiarę do swego bachusowego gniazda. Wszak im nie umknie już, nikogo nie zawoła o pomoc i nikt z ratunkiem jej nie przyjdzie.

Lancia sunęła szosą pełnym gazem.

Jastrzębie oczy barona Hibla zdawały się pochłaniać w swoje ognie bezwładną postać leśniczki.

— Więc mam cię wreszcie! — syknął triumfująco, nie zdejmując z niej źrenic.—Jakżeś teraz

jest bezbronna, oporna panno! Jakżeż się tulisz do mnie! Dasz teraz ust, dasz atlas ramion moim stęsknionym i głodnym wargom? Dasz!.. dasz!.. Żadna bestja psiego rodu nie przyjdzie ci z pomocą, jak to swojego czasu było... Rusałko leśna, dajże nareszcie swych ust nietkniętych!

Wycisnął mocny pocałunek na jakby martwych ustach nieszczęśliwej.

Nie czuła tej ohydy, silny narkotyk na długo odebrał jej przytomność.

— Daj spokój, gdyż odnoszę wrażenie, że pieścisz manekina—odezwał się Hans Steinbock. — Masz czas na wszystko, kiedy przyjdzie do siebie... Kiedy Stefi upoi ją haszyszem, a ty przywdziejesz maskę i chlamidę... Cóż da ci teraz zmartwiały pocałunek? Później, gdy jej nerw każdy pocznie dyszeć żądzami, gdy ogień pożądania mgłą oczy jej przysłoni, gdy się zapali jak pochodnia... wtedy jej usta warne same ci się rozchylą i miast bezczucia dadzą ci żywą, upajającą rozkosz...

Zygryd zastanowił się chwilę.

— Może i masz rację... ale nie zdajesz sobie sprawy, jak ja tej łani obłądnie pożałowałem... Ile ona wykradła mi spokojnych nocy, ile zszarpała nerwów... Jam za nią jedną naprawdę szalał! Wszak spojrzij tylko, czy nie warta szaleństwa?

— Bézsprzecznie. Mogłeś się jednak z nią ożenić...

Zygryd wybuchnął śmiechem.

— I ty to mówisz? Ty, Hans, dla którego kobieta ma wartość tylko jednej nocy?

— Ta warta więcej...



— Powiedzmy, że dziesięciu, lecz te pięć nie warte są. Żenić się... ha! ha! Bez tego, widzisz, mam ją przy sobie, bezwolną... moją... i w tem jest cały urok. Tak żyli nasi rycerscy poprzednicy, krzyżacy... Znali się na tem. Słowiańska krew ma w sobie specyficzny przysmaczek... Och, ty, — zwrócił się do nieprzytomnej Hanki — tyś, słowiańska królewna... dumna... dla królewicza chowająca swoje wdzięki... Ot, jam jest teraz twym królewiczem... ja ci diadem zdejmę ze ślicznej płowej główki, ja w twe ramiona wpadnę... A potem Hans, słyszysz? Wtedy dopiero wrócisz, a jeśli dobrze pójdzie, to jeszcze na ślub zdążysz...

Objął lekko jej kibić, a blask dzikiej radości skrzył mu się w wilczych ślepiach.

— Hans, to jest trofeum, jakiego w rękach nie mieliśmy dotychczas, istne rajske jabłuszko!

— Nie łechtaj jej, bo gotowa się ocknąć i... poznać swego pana.

— Niema obawy. Na wszelki jednak wypadek mam w kieszeni flakonik. Za chwilę dam jej powąchać perfum, prawdziwe Cottiego...

Śmiał się cynicznie, pieszcząc się głodnie rąsową dłonią Hanki, z której zdjął rękawiczkę.

A ona spała snem głębokim, blada, z wyrazem twarzy pełnym bóleści i jakby lęku. Oddychała nierówno, ciężko, jakby powietrza brakowało jej płucom. Szalony pęd auta niósł ją gdzieś ku przepaści, na zatracenie.

A ona spała bez snu o swoich kwiatach i przyjacielskich oczach... nie wyszła na spotkanie... nie otworzy bram serca na przyjęcie pierwszych goń-

ców miłosnej szczęśliwości— —to wszystko za nią pozostało, a ona w letargicznym zaśpieniu toczy się w piekło...

Nie patrzy na nią zachód słońca, nie całuje jej rosa, las z nią nie marzy, tylko cyniczne, rozwiązłe ślepie taksują czar jej ciała, tylko ohydna ręka płazi się chytrze po jej ramionach, jak gad z pieczary.

Wieczór coraz bardziej zapadał.

Na firmamencie niebios jęły ukazywać się gwiazdy, kiedy Lancia, cała kurzem okryta, wtoczyła się w stary, ponury park.

Obok kasztanowej alei ciągnął się duży staw, okryty srebrno-zieloną rzęsą, zaniedbany. W środku stawu widniał mały pawilon z omszałych desek.

Wreszcie gmach się ukazał, szary, ciężki w budowie, podobny do kamiennego zamku. I rzeczywiście był to stary z krzyżackich czasów zamek.

W dwu oknach na pierwszym piętrze widniało światło. Gdzieś zdala doszło szczerkanie psa i odbiło się wokół głuchem echem.

Lancia wsunęła się jak wąż pod ciężki, kamienny taras. Dygot motoru ucichł. Dwa męskie cienie opuściły wnętrze auta. Jeden z nich coś szepnął do szofera, poczem pociągnął ręką za staroświecki dzwonek.

Za chwilę dały się słyszeć kroki na korytarzu... Odsunięto zaworę kutych dębowych drzwi i błysło światło elektrycznej latarki.

— Serwus Stefil — przywitał Hans stojącą w progu kobietą postać. — Dostałaś list?

— Tak, wczoraj. A co, udało się?

— Musiało. Wiesz, że pan Zygfryd nie pudłuje.

— Szelmy! — wyrzekła poufale. — Wam tylko żyć. Oczywiście, że Stefi znowu w ką...

— Znasz nas, nie bądź zazdrosna — rzucił pośpiesznie Hans i dłoń położył na jej zwiotczalej piersi. — Nie stracisz na tem nic.

Młoda jeszcze i widać, wyuzdana Prusaczka, partnerka tych dwóch panów, skierowała światło latarki do wnętrza limuzyny.

— Ho! ho! warta ta gąska trudu... Macie djabelskie szczęście. O, piękna, piękna... No, choź, panno, na górę... Nie pójdiesz sama, śpisz? Przebudzisz się, och, jeszcze jak! I Stefi tak się przebudziła... A więc ją bierzcie!

Wydobyto z wozu wciąż nieprzytomną jeszcze Hankę. Stefi zabrała walizę i torebkę.

Za chwilę zatrzasnęła się brama za zbrodnia-  
rzami i osaczoną leśną rusalką...

Czekał już na nią złudny, z przepychem wscho-  
dnim urządzony buduar...

Czekała chwila straszego przebudzenia...

Czy ją potrafi znieść? czy złamie się jak trzci-  
na, szarpana wichrem?

Wcześniej niż przypuszczano nastąpiło ocknię-  
cie, bo prawie w progu buduaru. Stała sama  
chwajnie, jakby pijana.

Najprzód szept cichy wydobył się z ust Hanki  
i naraz głos:

— Ryska, co to się stało?—i potoczyła się na  
Stefi.

Męskie sylwety w jednym momencie zniknęły  
w mroku korytarza.

Walizka wypadła z ręki Niemki. Ujęła Hankę  
w pól i jęła wolno prowadzić ją do środka.

— Rysiu, jak mię ogromnie boli głowa...

Upadła na kozetę.

Gdzieś na podwórzu szczekał ponuro pies.

### III

## PRZEBUDZENIE

Czas jakiś Hanka siedziała na kozecie, trzymając w dłoniach pijaną z bólu głowę. Czuła się ogromnie wyczerpana i nie zdającą sobie sprawy, co się z nią dzieje. Niby echo dalekie szeptała jej myśl słaba, że jest u Ryśki i że pewnie zemdloną przywieziono ją do niej. W głowie szumiał jej chaos i bił bolesnym pulsem w zgorączkowanych skroniach. Doznawała wrażenia, że wpadła w jakąś mroczną otchłań i omackiem poczyna się z niej wydostawać, i że jej to idzie bardzo ciężko, że niema czego uchwycić się rękoma, że wokół pustka pełna jakowychś wrogich szumów.

Powoli jednak jęły cichnąć te szумы, mrok począł się rozwidniać, zgmatwany umysł wracać do równowagi.

Podniosła głowę ociężałą i spojrzała przed siebie. Męt jeszcze miała w oczach.

Dostrzegła siedzącą naprzeciwko nieznajomą

kobietę. Bez drgnienia powiek patrzyła w nią przez chwilę... Lecz to nie była Ryśka... Równocześnie źrenice przebiegły po pokoju: wyglądał niby z bajki... Lampa, okryta barwnym abażurem, potęgowała jego urok.

Nagle zdumienie ożywiło twarz Hanki. Mniemanie, że to sen, pierzchnęło tak prędko, jak prędko się zrodziło.

Wstała z kozety i chwiejnie wstecz się posunęła. Zdumienie jej przemieniło się w trwogę. Opanowała myśli, przytomność wróciła jej odrazu.

Stefi również powstała.

— Niech się pani nie lęka—odezwała się słodko w polskiej mowie, podchodząc ku przerażonej Hance. Znała ten język niezłe, bowiem prawie od dziecka wychowywała się pośród prawie polskiego otoczenia.

— Boże wielki, kto pani jest i gdzie ja się znajduję?—spytała drżącym głosem.

— W lecznicy doktora Szremskiego niedaleko Warszawy...

— ?

— Tak, w lecznicy... A jam jest pani opiekunka...

Myśli Hanki poczęły znów wirować.

— Nie pojmuję... Skąd się tu wzięłam?

— Ot, może przed godziną przywieziono tu panią—odrzekła tym samym słodkim głosem.

— Tu... poco?

Płacz jej drżał w słowach.

— Na kurację...

— ?

Twarz Hanki bladła. Myśl przerażona zdała się jej nawierzch wypychać oczy.

— Pani jest chora—dodała Stefi — chora nerwowo... Jadąc dzisiaj autem przez ulicę Warszawy, dostała pani nerwowego ataku, poczem utraciła przytomność... Nie wiem dokładnie, jak to było, dość, że pan doktor Szremski przejeżdżał właśnie i ulitował się nad panią. Nie chciał, by panią wzięto do szpitala, i ofiarował dla niej swój pensjonat, przeznaczony dla histerycznie chorych... Podobno panią zna i dlatego jej oddał nie zwykły pokój zakładowy, lecz apartament swojej córki... To bardzo godny i litościwy człowiek. Będzie tu pani bardzo dobrze... proszę, jak tu jest pięknie — wskazała dłonią po pokoju, a względnie buduarze.

Hanka, słuchając owych słów, truchlała coraz bardziej. Usta febrycznie poczęły jej dygotać.

— Jezul! To chyba koszmar, to nieprawda! — zawołała rozpacznie. — Nie byłam nigdy chora na nerwy i nie jestem nią wcale. Jakaś pomyłka straszna zaszła... Ja jechałam na ślub do swej kuzynki... Możliwe, że zasłała w aucie...

— Właśnie!

— Ale skąd mowa o jakowymś ataku? Nigdy żadnych ataków nie miewałam!

— A jednak przywieziono tu panią zupełnie nieprzytomną. Teraz dopiero przyszła pani do siebie...

Hanka uchwyciła się dłońmi za rozpaloną głowę.

— Boże! Boże!—jęknęła.—Zasłabłam... to sobie przypominam... Coś w aucie czuć było, zrobiło mi się słabo.. Poco mię zatem aż tutaj przywózono? Można było ocucić mię i zawieźć do kuzynki...

Ostatnie słowa wymówiła już prawie z płaczem.

— Niechże się pani uspokoi, nic znów straszego się nie stało. Pani wszystkiego nie pamięta, a źle widocznie być musiało, jeśli pan doktor zajął się panią...

— Pan doktor mówił do pani, że mię zna?— spytała Hanka, przypominając sobie słowa Stefi.

— Owszem, tak mówił...

— Przepraszam, a jak on się nazywa?

— Szremski. Cała Warszawa zna go dobrze i jego świetny zakład w Skierniewicach...

— Ja nie znam, nic o nim nie słyszałam... Może pani będzie taka łaskawa i poprosi tutaj pana doktora? Wszak już przyszłam do siebie i pragnę wracać do kuzynki...

Wrócił jej spokój, ale na tyle tylko, że płacz zdławiła w sobie.

Szatański uśmiech przebiegł oczyma Stefi.

— Pan doktor wróci dopiero dziś nad ranem. Właśnie, gdy tylko panią przywiózł, wezwano go zpowrotem do chorego w Warszawie.. Tymczasem mnie nad panią polecono opiekę.

Hanka westchnęła ciężko.

— A więc ja jestem w Skierniewicach?

— Tak, proszę.

— To niedaleko od Warszawy. Mogę zatem



bezwzględnie wrócić sama koleją—wyrzekła jakby z ulgą.

Stefi bardzo spokojnie zaprzeczyła.

— Niestety, musi pani poczekać aż pan doktor powróci. Zakład ma swoje zarządzenia i tych musimy skrupulatnie przestrzegać pod rygorem utracenia posady...

Chmura padła na oczy Hanki.

— Okropnel!—wyszeptała.

— Sądzę, że jutro rano, kiedy pan doktor się przekona, że pacjentka całkiem przyszła do zdrowia, odwiezie ją bezwzględnie do Warszawy...

Hanka nic nie odrzekła. Myśl jej zahaczyła się o coś. Wreszcie odezwała się jakby do siebie:

— To dziwne, że nie wezwano do mnie pogotowia ratunkowego, tylko zabrano mię aż do Skierniewic... Niech pani sama powie, dlaczego tak się stało?—zwróciła się do Stefi.

Rzekoma opiekunka ruszyła napół obnażonemi ramionami.

— Słyszałam tylko, że było z panią bardzo źle, a resztę to już pan doktor powie pani dokładnie...

Hanka znów milczała przez chwilę, pragnąc koniecznie odgrzebać coś w pamięci. Nic jednak nie przypominała sobie, prócz tego tylko, że ją w aucie zmorzył gwałtownie jakiś potworny sen.

— Mówiła pani, że mnie tu przywieziono zupełnie nieprzytomną?

— Tak, była pani jakby bez duszy, poprostu martwa...

Lęk nowy ją ogarnął.

— Matko najświętsza, co mi się stało? Wszak-  
żem najzdrowszą wyszłam z pociągu...

— Pani nie warszawianka?

— Nie, tylko do krewnych przyjechałam... na  
ślub kuzynki...

Stefi w nieznacznym uśmiechu przygryzła  
wargi.

— Pierwej może twe gody się odbędą, luba  
panienko—przebiegło przez myśl Niemce. Na wi-  
dok tego wiosennego dziewczęcia zrodziły się  
w niej nagle zawiść i zazdrość. I ona była taka  
świeża, niewinna, ufna. A dziś? Dziś jest jak  
zwiędły, zeschły kwiat. Dziś jest wspólną ko-  
chanką Hansa, barona Hibla i ich przyjaciół...  
kochanką już prawie zapomnianą...

Stefi nie przestając przygryzać ust, zbliżyła się  
ku drzwiom.

— Porozmawiamy jeszcze, tylko przyniosę pani  
kolację—odezwała się jakby zmienionym głosem.

Hanka wstrząsnęła głową.

— Ależ dziękuję pani, wcale nie czuję głodu!

— To przynajmniej herbaty trzeba się napić  
przed spoczynkiem—odrzekła Stefi i zniknęła za  
drzwiami.

Bezradna i zrozpaczona Hanka stała bez ruchu,  
nie wiedząc, co by począć. Ten pokój, z przepy-  
chem urządzony, jął się jej nagle wydawać po-  
dejrzany, jak i znający ją rzekomo doktor Szrem-  
ski. Wogóle cała historia z atakiem nerwowej  
choroby, defekt motoru, zmiana auta, a później  
to dławiące powietrze i utrata pamięci, wszystko  
to razem zbudziło nagle w Hance instynkt i rów-  
nocześnie jeszcze większym ogarnęło ją lękiem.

— Jezul! To wszystko pewnie jest podstępem i mnie porwanol...—jak ostry grót, tak ją ta myśl przeszyła.

Na kilka sekund zamarł jej oddech w gardle. Przybladła, lecz nie straciła panowania nad sobą. Przeciwnie, jakieś zdecydowanie błyskawiczne ożywiło jej oczy. Zbudziła się w niej córka boru i starego myśliwca. Równocześnie wpadła jej w oczy własna torebka, leżąca przy drzwiach na podróżnej walizce. W mig ją chwyciła i otwarła. Odetchnęła jakgdyby z ulgą: wśród toaletowych drobiazgów znajdował się mały, czarny browning, nieodstępny towarzysz leśnych wędrowek Hanki. Było, że wyjeżdżając z domu, miała zamiar zostawić go w szufladce, lecz poniechała tego i zabrała go z sobą. Będąc obecnie w najwyższym podnieceniu, tak to pojęła, że uczyniła to poprostu za podszeptem jakiejś tajemnej myśli.

— Jeśli zajdzie potrzeba, będę się bronić do upadłego!—wyszeptwała sama do siebie, chowając browning do kieszonki sportowego kostjumu, jaki ubrała do podróży.—Tak, będę się bronić!—powtorzyła z naciskiem.—Absolutnie nie wierzę, abym rozchorowała się w aucie... Wszakbym i teraz była chora...

Momentalnie nieznamy z ulicy, a tak jej bliżsi, stanął jej w myślach wyraziście.

— Czyżby on był owym doktorem Szremskim?

— To niemożliwe—szepnęła jej myśl druga.— Ten człowiek nigdy nie porwałby się na to! A Hibi? Ten o niej już zapomniał. Nikt więc jej nie przy-

szedł jej do głowy, ktoby mógł się poważyc na taki krok szaleńczy.

Z ręką na browningu w kieszeni zbliżyła się do okna. Było zakratowane. Poza szybami widniały w zmierzchu nocy stare, o ogromnych konarach drzewa.

— To zdaje się więzienie, a nie lecznica! — pomyślała, w mrok się wpatrując.—Boże, czuwaj nade mną!

Aż się dziwiła sobie, że lęk ją gdzieś odleciał, a niezwyuczajna energja napłynęła do serca.

Tymczasem na końcu korytarza dwa męskie cienie przystąpiły do Stefi.

— Co jest?—padły naraz dwa zapytania.

— Oprzytomniała...

— Spokojna?

— Tak, spokojna... Uwierzyła we wszystko i będzie czekać na doktora Szremskiego, który wróci aż rano... Oczywiście, teraz wypada podać pannie herbatkę... Gdy się napije, to i Szremski wywieje jej z pamięci...

— Brawo! Tylko uważaj, by nie przesadzić w dawcel

— Pierwszy raz robię taki miłosny napój? — obruszyła się Stefi.—Bądźcie pewni, że tak czarownie będzie płonąć, jak róża w maju... Bo tak, dla was jest teraz maj, a dla mnie co?

— Ot, tu dolary—rzekł prędko Hibel, kładąc rękę na wypukłej kieszeni marynarki. — Chodź, Hans, trzeba się zmienić: ja—w Valentina, a ty—w Johna Gilberta... Działaj, Stefi, i w odpowiedniej chwili daj nam znać

Za chwilę korytarz był już pusty.

Hanka bez straty czasu jęła orjentować się w obszernym buduarze. Niski, wypukły strop nie harmonizował bynajmniej z otoczeniem. Wyglądał raczej na sklepienie zamkowe lub klasztorne. Pokój posiadał dwa okna z ciosowego kamienia i jedno wyjście na korytarz. Właśnie Hanka chciała uchylić drzwi, jednak dziwnego kształtu klamka nie ustąpiła pod jej ręką. To ją odrazu upewniło, że jednak znajduje się w pułapce, a nie w żadnej lecznicy. Przebiegł ją zimny dreszcz, lecz jej odwagi nie odebrał.

— Boże jedynyl! Porwano mię i zamknięto... Kto? Dlaczego? Wszakżeż nikomu nic nie winnam!

Łzy się jej w oczach zakręciły. Dwie postacie, ojca i Ryśki, stanęły przed nią jak na jawie. Chciała zakrzyknąć o ratunek, lecz się zmitygowała, słysząc szelest na korytarzu. Z ręką na brzońcu wtył się cofnęła.

Drzwi się otwarły i weszła Stefi z dwiema szklankami herbaty i ciastkami.

— Jeżeli pani nie życzy sobie kolacji, w takim razie służę herbatką...

— Dziękuję, nie wezmę do ust nic! — takim głosem odpowiedziała Hanka, że słodka mina Niemki pierzchnęła odrazu.

Przez kilka sekund trwało milczenie i krzyżowanie się dwóch spojrzeń.

Twarz doświadczonej Stefi znowu się rozjaśniła. Tego wymagała jej rola.

— Ależ przepraszam, mym obowiązkiem było

podać pani posiłek, a pani... uczyni tak, jak zechce...

Uprzejmość, z jaką to Stefi powiedziała, cókolwiek uspokoiła Hankę.

— Dlaczego pani, wychodząc po herbatę, zamknęła mię w pokoju? — zapytała łagodniej, nie spuszczać ocz z Niemki.

— Jako zamknęłam?

— Sprawdziłam, że drzwi były zamknięte.

Na usta Stefi wypełził nieszczerzy uśmiech.

— Oh, i tem się pani tak przejęła? Tu, proszę pani, wszystkie drzwi mają automatyczne zamki...

— W takim razie i z wewnątrz powinny się otworzyć.

— Przecież się otwierają, tylko że pani nie jest wprawna...

Hanka nie uwierzyła.

— Proszę pani, ja się w Warszawie wychowałam, gdzie również nie brak skomplikowanych zamknięć, ale takiego nie spotkałam.

Stefi nadal z dobrodusznym wyrazem spoglądała na Hankę. Wzięła z tacy jedną szklanke herbaty i wrzuciła doń cukier.

— Że też pani przejmuję się takimi drobiazgami... Takie zamki zastałam tutaj, obejmując posiadłość, i przywykłam już do nich razem z pacjentami. Niechże więc pani raczy usiąść, herbatka stygnie... Sobie również przyniosłam, by służyć pani towarzystwem. Rozumiem, że, znalazłszy się tutaj, jest pani przykro, lecz rano zapewne pan doktor zwolni panią, gdyż nie widzę potrzeby zatrzymywania jej tu dłużej. Zło, które w ten spo-

sób pokierowało sprawą, już przeszło. Sama widzę, że pani całkiem przyszła do siebie, choć przed godziną było z panią naprawdę bardzo ciężko... A więc proszę do stołu—dodała jeszcze milej i podsunęła jej herbatę.

Słowa te jednak nie trafiły do przekonania Hanki.

— Bardzo dziękuję, ale naprawdę nie czuję apetytu. I nie pojmuję wcale, dlaczego, rozchorowawszy się w Warszawie, wzięto mię do Skierniewic... Powiem pani otwarcie, że ja wcale nie wierzę ani w mój jakiś atak, ni w tę lecznicę, tylko poprostu jestem pewna, że mię zbrodniczo uwięziono!

— ?

— Tak, proszę nie robić takiej niewinnej miny. Bo jeśli chcę wyjechać, dlaczego pani mię nie puszcza?

— Pan doktor tak zarządził.

— Pan doktor nie ma prawa, aby wolności mię pozbawiać, gdyż żadna władza nie zleciła mu tego

— A może właśnie...

— Nieprawda—przerwała szybko.—W nagłych wypadkach miasto wysyła pogotowie i ma swoich lekarzy! Chyba stolica posiada lepsze lecznice, niżeli Skierniewice. To przecież jasne. Dalej, pan doktor Szremski, ofiarowawszy mi już swą opiekę, dlaczego zaraz mię opuścił? Wszak bylam nieprzytomna... Czyż w takim stanie lekarz opuszcza pacjenta? — Umysł Hanki działał coraz to bystrzej.—Proszę pani, wszak te sprzeczności poprostu biją w oczy! To wszystko, co tu słyszę,

jest kłamstwem i zasadzką. Zapewne i ta szklanka herbaty mieści w sobie jakiś narkotyk... W aucie mnie odurzono do utraty pamięci! Albo strój pani... wcale o tem nie świadczy, by pielęgniarstwo było pani zawodem...

Stefi milczała chwilę, aż wreszcie rzekła:

— Poczynam mniemać, że pani istotnie jest nerwowa...

— Oh, nie! Tylko na szczęście poczynam sobie zdawać sprawę z mojego położenia. Zapewniam jednak panią, że ktokolwiek w taki haniebnym sposobie targnął się na mnie, ten zawiódł się i to nie ujdzie mu bezkarnie! Ja się bronić również potrafię! Widzi pani, to mnie obroni albo w ostateczności zada śmierć! — rzekła już prawie z płaczem, dobywając z kieszonki browning.

Ten niespodziany obrót sprawy tak stropił Stefi, że wstała szybko jak ukłuta.

— Faktycznie, ja pani nie pojmuję — szepnęła z lękiem, widząc rewolwer w ręku roztrzęsionej dziewczyny.

Coś momentalnie szepnęło Hance, by wykorzystać okoliczność. Bezwłocznie zatem stanęła między drzwiami a przybladniętą Stefi i zapytała wprost rozpaczliwym głosem:

— Powiedz pani w tej chwili całą prawdę, inaczej obie tutaj zginiemy! Kto mnie tu uwiózł?

Stefi na widok podniesionej broni i tego głosu doreszty opanowała trwoga.

— Pani, jam nic nie winna...

— Mów pani prędzej — kto?!

Kredowe usta Stefi coś wybelknęły.



— Proszę powtórzyć—kto?!

— Pan baron Hibl...

Hanka oniemiała na chwilę.

— Hibl?

— Tak.

— Gdzie on w tej chwili się znajduje?

— Tam... w dolnych pokojach. Pan baron nic złego pani nie uczyni, on panią bardzo kocha... Mówił.. bez pani żyć nie może...

— I dlatego mię porwał? Pierwej, zanim tu wejdzie, strzelę mu w łeb jak parszywemu psu! Teraz pytam się pani, czy tu naprawdę Skierniewice?

— Nie... tu Semborg...

— Gdzież to jest?

— Na granicy Prus Wschodnich...

Wiedziała zatem wszystko.

— Boże Jedyny, a więc to tak... Zbrodniarz, rozsiał pogłoskę, że do Egiptu się wybiera...

Jednak na myśl, jak ją daleko wywieziono i w czyim ręku się znajduje, znowu ją lęk ogarnął. Mimo to przecież była zdecydowana na obronę do ostatniego tchu.

— Czyj to jest dom?—spytała, ochłonawszy cośkolwiek.

— Pana Steinbocka... Ale na miłość boską, niech pani mię nie zdradzi, onby mię zabił!

Tyle strachu było w jej głosie, że Hanka uwierzyła.—Dobrze, jednak pod tym warunkiem, że pani mię stąd wyprowadzi na wolność... Inaczej oświadczam pani, że sprawiedliwość jej nie miniel

— Teraz nie można, oni czuwają...

— Kto?

— Pan baron i mój pan. Chyba koło północy...

— Przysięgnie pani, że mi ułatwi stąd ucieczkę?

— Przysięgam!

W sercu Hanki zaświtała nadzieja wyrwania się z owych ohydnych szpon.

Teraz obie kobiety, poczęły się naradzać nad sposobem ucieczki. Zachowanie się Stefi, jak też i położenie, w jakim znalazła się obecnie, wzbudziło w Hance iskierkę zaufania. Wreszcie innego wyjścia nie widziała.

Po dość długiej naradzie Stefi opuściła buduar celem czuwania nad sytuacją.

— Bodajś przepadła!—syknęła, jak tylko znalazła się za drzwiami.—Czekaj, ja ci pomogę do ucieczki!—i pędem pobiegła korytarzem.

Dwaj donżuani, przepijając szampanem prawie kończyli szminkowanie, gdy Stefi wpadła jak bomba do pokoju.

— Niechaj was wezmą wszyscy djabli z taką boginią!—wrzasnęła na całe gardło.—To nie panienka, lecz pantera! To zmija!

— Co się stało, uciekła?

— Lepiej, żeby uciekła! Ta osa ma rewolwer i chciała mię zastrzelić!

Panowie zbaranieli.

— Jakto, wystrzeliła do ciebie? Mówże po ludzku!

— Tu, przy czole trzymała mi rewolwer, żem ledwie ujsć zdołał! Nie tknie herbaty, nie wierzy, by tu była lecznica, i wie, że ją porwanol Ani

przystępuj do niej! Z nią tak łatwo nie pójdziel! Róbcie teraz, co chcecie, ja do niczego się nie wtrącam. Milsze mi życie niżli wasze hultajstwo! Herr Jesu, jam ledwie żywa!—zajęczała i tak, jak wpadła, trzasnęła drzwiami i uciekła.

Amanci,<sup>3</sup> pełni rózu i szminki, niby aktorzy przed wyjściem na teatralną scenę, w najwyższem osłupieniu popatrzyli na siebie. Coś podobnego jeszcze nie przydarzyło im się nigdy.

— A to bestja! — pierwszy Hans się odezwał.

— Hm, trudniej, posiada broń przy sobie... Teraz w łeb palnie temu, kto pierwszy zechciałby złożyć jej wizytę...

Baron usiłował opanować swą wściekłość. Tak świetnie dotąd przeprowadzony plan począł się nagle psuć i odwlekać oczekiwaną chwilę.

— Nie palnie, damy jej radę! Na żaden sposób nie puścimy jej z sieci. Nie dziś, to jutro musi ją sen pokonać, a wtedy ten flakonik rozbroi ją zupełnie... Zresztą, i wcześniej możemy sen sprowadzić... Już na nic nie dbam, a oszaleć nie myślę!

— A to chytre stworzonko...

— Nie ujdzie nam, zobaczysz!

Skończył lampkę szampana, poczem ją rzucił na blat stołu, że się w kawałki rozprysnęła.

— Słuchaj, chodźmy do Stefi, niech nam dokładniej opowie cały przebieg.

Wyszli natychmiast, pewni, że drzwi dębowe i sztuczny zamek dopilnują ślicznego, choć tak wojowniczego więźnia.

Wrócili może po godzinie.

Plan podejścia ofiary uległ atoli pewnej zmianie,

Hans bowiem począł pisać list pod dyktandem barona. Baron nie pisał sam, gdyż pismo jego znane już było Hance, a zdradzić się, znaczyło wejść dobrowolnie za kraty kryminału.

Tymczasem uspokojona nieco Stefi, kiedy zważyła, że z tą panią niema żartów i cała owa awantura może fatalnie się zakończyć, cichaczem spakowała manatki i pod osłoną nocy opuściła miejsce swego upadku i siedlisko rozpusty.

Nie myślała w tej chwili o rodzicielskim domu, ten jej już nie pociągał, tylko dobrze wypchany portfel przyciskała troskliwie do wiotkiej piersi, a złuda bujnego życia w wielkim mieście gnała ją naprzód ku dalekim światłom kolejowej stacji — —

Upływał czas, a Hanka nadaremno czekała pojawienia się Stefi.

W pewnej chwili drzwi się cośkolwiek uchyliły. Czyjaś ręka rzuciła list na dywan. Drzwi znowu się zamknęły. Hanka ostrożnie list podniosła w tem przekonaniu, że to wiadomość jest od Stefi. Nie wypuszczając broni z ręki, poczęła czytać:

„Wielce Łaskawa Pani! Przepraszam prawdziwie szczerze, że w ten najniegodziwszy sposób uczyniłem Panią moim chwilowym gościem. Proszę uwierzyć, iż nie miałem sposobu dojścia do tego w inny sposób. Na me nieszczęście jestem malarzem, a zatem i niewolnikiem piękna. Spozstrzegłszy Panią na kolejowym dworcu w Warszawie i porwany jej czarującym typem, a będąc

pewny, że Pani nie zechciałaby może uczynić za-  
dość prośbie pozowania mi do obrazu—podstępnie  
zdecydowałem się na porwanie Pani, aby urze-  
czywiścić me największe pragnienie i despotycz-  
ny nakaz muzy. Dom mój nie jest lecznicą, jak to  
dla uspokojenia Pani w pierwszej chwili oświad-  
czono, tylko skromnym przytułkiem Sztuki. Nic  
złego Pani tu nie grozi, cóż bowiem anielicy gro-  
zić może? Tem bardziej, gdy się znajduje pod  
opieką swego prawdziwego czciciela! Czekam na  
korytarzu; stuknięcie w drzwi objawi mi radośnie,  
że dostąpiłem łaski pokłonienia się Pani jak naj-  
uiżej. Jutro w południe z mą dozgonną wdzięcz-  
nością odwiezie Panią do Warszawy wygodna li-  
muzyna. Zechce Pani okazać nieszczęsnemu i bru-  
talnemu artyście chociaż iskierkę przychylności  
i zrozumienia.

*Witold J. . . . . ski.*“

Hanka ze wstrętem zmięła list i rzuciła. Być  
może, że gdyby nie wyjawienie nazwiska sprawcy  
przez przypartą do muru Stefi, byłaby się zgodzi-  
ła na te bądź co bądź konieczne odwiedziny, jed-  
nak wiedząc, kto tu w grę wchodzi, tylko broń  
opatrzyła i czekała w napięciu na nieznaną roz-  
grywkę.

Uplynęła długa jak wieczność chwila. Kobięce  
nerwy zdały się wyczerpywać.

Wtem dobiegł uszu Hanki najsamprzód tłu-  
miony szept za drzwiami, a potem głośnie, lecz  
bardzo miękkie zawołanie:

— Halo!

Hanka, wpatrzona bacznie w drzwi, nic nie odrzekła.

Znowu to samo zawołanie ozwało się dwukrotnie. I to przeszło bez echa.

Wtedy ostrożnie skrzypnęły drzwi i ukazała się w otwarciu wytworna twarz Hansa Steinbocka. Szminka zmieniła go zupełnie, nawet jego nos orli zatracił kształt z wyglądu.

Hanka zdziwiła się w momencie, że to nie fizys Hibla.

— Pardon! czy mogę jednak wejść bez zaproszenia? — zapytał atlasowym półgłosem.

— Jeśli krok jeden pan postąpi, tak strzełę bez wahania! — odrzekła mężnie Hanka.

Intruz nie myślał jednak zaraz tchórzyć.

— Łaskawa pani, poco ta wojowniczość? Wszak nie jestem dzikusiem, ni ludożercą...

— Pan Steinbock jest czemś bezporównania gorszem! — odcięła Hanka, przypuszczając, kogo ma przed oczyma.

Mrowie przeszło po ciele Hansa. Dość duże jego oczy stały się nagle jeszcze większe.

— Kto, proszę?

— Pan Steinbock i jego spółnik, pan Hibl ze Sulisławic...

W Hansa jakby piorun uderzył.

— Ależ panil! — udał z wysiłkiem zdziwionego i wolno począł próg przekraczać, jakby nie wierzył w jej pogroźkę, a przedewszystkiem własnym uszom.

— Powiedziałam, że strzełę! — wyrzekła szybko Hanka i równocześnie podniosła broń przed siebie.

Hans się zawahał, lecz się nie cofnął.

— Nie strzeli pani do człowieka... przecież nie-  
ma potrzeby...

— Nie człowiek ze mną tak ohydnie postąpił!

— Nic znów straszego nie stało się... Ot, jak  
pisałem w liście... Niechże się pani nie obawia, ja  
pani ręczę, że...

Lecz nie dokończył, bo kiedy mówiąc, krok  
postąpił, Hankę przejął dreszcz trwogi i palnęła  
z browninga, tuż pod stopy natręta. Huk wstrząsł  
pokojem i jęknął w korytarzu.

— Teraz już strzelę prosto w pierś!—krzyknę-  
ła rozpaczliwie.

Hans tego już nie słyszał, gdyż uciekł błyskawicznie. Ktoś drugi drzwi zatrzaskał.

Przerażeni amanci stracili się dopiero w gabi-  
necie.

— Pomyśl, co za djablica!—syknął Hans drżą-  
cym głosem.

— Szal szal! To nic! Ale nazwiska... nasze..  
skąd ona wie?! Ty, to okropne, to... — aż się za-  
dławił wprost przerażony Hibel.

— Zapewne Stefi... zdradziła pod grozą rewol-  
weru...

Dotychczasowy animusz odleciał ich zupełnie.  
Po chwili, pełni wściekłości i chaosu, udali się do  
Stefi. Zastali pokój pusty... Różne rupiecie na  
podłodze, pootwierane szafy, powysuwane szufla-  
dy u komody odrazu rozwiązały zagadkę.

— Szelma! ona chyba uciekła!—wrzasnął Hans  
ogłupiały.

Wśród przekleństw i złorzeczeń rozpoczęło się poszukiwanie Stefi, oczywiście bez skutku.

Powrócili zbici z trópu zupełnie, wprost z mętem w głowach.

— A jeśli ona wszystko zdradzi?

— To wykluczone! — szepnął bezdźwięcznie Hans. — Widocznie wystraszyła się fatalnego początku tej niepotrzebnej historii i związała, gdzie ani djabeł jej nie znajdzie! Co tam o Stefi, gorzej, że nas zdradziła ta idjotka!

— Nietylko gorzej, ale w istocie to jest straszne! Teraz to pachnie cytadelą!

Zapanowało głuche jak grób milczenie. Romansowi piraci, pełni dotychczas sprytu i przebiegłości, teraz stracili głowy całkowicie. Nie przypuszczali nigdy, aby ta eskapada wzięła aż taki obrót. Teraz widzieli, jak na dłoni, co im zgotuje los fatalny, jeżeli leśniczanka znajdzie się na wolności. Przemienić w żart tę awanturę zgoła nie zdało się ponętne, gdyż za daleko już zabrnęto. Zaś z niedosłą ofiarą za cenę uwolnienia wiązać się słowem tajemnicy—było narówni niebezpieczne. Słowem, nie widzieli sposobu zażegnania tej niefortunnej, ciężkiej sprawy.

Było już dobrze po północy, kiedy zgębiony Hibel odezwał się do Hansa:

— Słuchaj, nie mamy nad czem dłużej myśleć, tu istnieją dwa wyjścia: albo wejemy zagranicę, z tem, by tu nigdy nie wrócić, albo... my zostajemy, a leśniczanka jedzie sobie do nieba... Mnie wszystko jedno, ty wybieraj!



Hans wazył chwilę obie tak ciężkie alternatywy, aż wreszcie rzekł:

— To są ostateczności! Przecież znajdzie się może jakie łatwiejsze wyjście?

— Ja takiego nie widzę!

— Może ta gęś da się przekonać, że to wszystko jest żartem, że to twój rewanż za rekuzę, że... naprzykład, możesz jej oświadczyć, że kochasz ją niezmiernie, a kiedy jest w twojej mocy, ty ją uwalniasz na dowód swej prawdziwej miłości... Kobięcie zawsze pochlebia nawet bezzwajemny wielbiciel... Po drugie, może da słowo, że zmilczy o tem wszystkim, choćby dla uniknięcia sensacji i plotek... Sądzę, że w własnym interesie dotrzymałaby przyrzeczenia.

— Wielkie pytanie! Żyć zaś w ciągłej obawie ja nie potrafię. Wreszcie mam tak niepysznie skapitulować? Mam się jej wyrzec, teraz, gdy jest w mej sieci? Za żadną cenę! Ona, to jest poprostu mój organiczny szal! Nie, nie ustąpię!! Zresztą — dodał po przerwie — mamy czas jeszcze szukać wyjścia. Teraz nam trzeba ukołysać ją słodko, rozbroić, a potem... potem... zobaczymy, co zrobić!

Na tem stanęło. Nowa otucha wstąpiła w serca uwodzicieli — —

Zaczęło wolno świtać, gdy do pokoju zmęczonej, a czuwającej bacznie Hanki począł się wkradać dziwny zapach... Poznała go bezzwłocznie, był takim samym, jak i w aucie. Włot się zorjentowała, co on oznacza. Skoczyła więc ku oknu, ażeby je otworzyć, jednak potężne ramy nie ustąpiły pod jej ręką. Widać, nie otwierano ich od lat.

Bez sekundy namysłu stalowym trzonem browninga trąciła w szybę tak silnie, że ta rozprysła się w kawałki. Rozległ się nieprzyjemny brzęk spadającego szkła.

— Święta Tereso, broń mię!—westchnęła przerażona do białej róży z Lisieux.

Nie mogąc ustać już na nogach, usiadła na parapecie okna, wdychając skwapliwie świeże, rośne powietrze budzącego się dnia. Groźny zaś zapach rzedniał w pokoju, aż znikł zupełnie.

Podstęp złoczyńców nie osiągnął zamierzonego celu. Brzęk szkła już im powiedział o przegranej. Liczyli teraz na ostateczne wyczerpanie sił leśniczanki. Już nie mogło być mowy o układach, teraz miejsce reszty rozsądku zajęła dzika wściekłość.

Na świecie począł się świt wielmożnic, taki sam cudny i rozkoszny, jak ów wczorajszy, kiedy na ganku śródleśnej leśniczówki stało młode dziewczę—aby z kwiatami porozmawiać i pożegnać je czule.

Te oczy tak wczoraj jasne i szczęśliwe teraz o wschodzie słońca mgła umęczenia przysłaniała, a pastelowy róż policzków zastąpiły wypieki.

Wiekowy park ożywiły ptaszęce śpiewy i ćwierkania, lecz nieszczęśliwy więzień zdawał się ich nie słyszeć. Oczekiwana panna Stefi nie przychodziła... Ostatni strzęp nadziei rozwiął się w mgłę zwątpienia.

Zamek trwał nadal w głuchym śnie.

## IV

### JAGMIN

W sobotę, jak przyobiecał, leśniczy Miłosielski, przyjechał do Warszawy południowym pociągami. Na dworcu oczekiwali go syn Sławek i Ryśka wraz z narzeczonym, dzisiejsi nowożeńcy. Jakież jednak było zdziwienie oczekujących, kiedy przy ojcu nie zobaczyli córki, druchny ślubnej uroczystości!

Jeszcze nie ukończono przywitania, kiedy Ryśka i Sławek spytali niecierpliwie:

— A gdzież jest Hanka?

Leśniczy w pierwszej chwili wziął to za żart.

— Nie bałamućcie, tylko dawajcie ją tu prędzej, bo umieram z tęsknoty!

— Jakto? — zdziwił się Sławek.

Miał przytem taką poważną minę, że stary baczniej spojrzął po nich.

— Przecież we czwartek wyjechała...

— Nie, żarty! — odezwała się Ryśka. — Może w wagonie się ukryła?

Leśniczy przypoważniał.

— Moi kochani, co wy gadacie?

— No, słowo daję tatusiowi, że jej tu niemal miała przybyć we czwartek, ale nie przyjechała. Byliśmy pewni, że coś zaszło i przyjedzie dzisiaj razem.

Leśniczy teraz splótł.

— Rany boskie, przecież wam mówię, że porannym pociągami wyjechała we czwartek! Nie róbcież ze mnie warjata, tylko gadajcie, co się stało?!

— Ależ zaręczam, że Hanki u nas niema! — całkiem serjo zapewniła Ryśka. — We czwartek wyjechała?

— No tak, wszak jestem przecież przy rozumie!

Na chwilę urwała się rozmowa. Wszyscy spojrzeli po sobie z wyrazem bolesnego zdumienia.

— Jezul! cóżby się stało? Zupełnie zdrowa wyjechała!

— Nie miała w planie żadnych odwiedzin? — zapytał Sławek.

— Ani słówkiem nie wspominała o tem! — lechała wprost do Rysil

Stali na miejscu jak odrętwiali. Nie ulegało wątpliwości, że Hankę w drodze coś spotkało. Leśniczy z przerażenia poprostu stracił mowę. Zdawało się, że lada chwila padnie, tak zbladł i tak się rozdygotał. Ryśka poczęła płakać, narzeczony zupełnie stracił głowę, tylko Sławek, choć również przerażony, panował jeszcze nad nerwami.

Samochodem narzeczonego Ryśki Sławek wyprawił trójkę do domu, sam zaś bezzwłocznie wsiadł do taksówki i ruszył pędem do centralnego biura policji.

W wyczerpujących słowach przedstawił odnośnemu komisarzowi sprawę zagadkowego zniknięcia siostry.

— Oto jej fotografia, na szczęście mam ją przy sobie..

Komisarz oglądał ją z zajęciem, okazując coraz żywsze zainteresowanie się zagadką.

Po chwili począł przeglądać plik papierów. Przejrzał je skrzętnie wszystkie.

— Panie poruczniku, to są raporty ze wszystkich warszawskich komisarjatów. Od czwartku do tej chwili nic takiego nie zaszło, co by mogło mieć związek z pańską siostrą. Być może, że do Warszawy nie przybyła. Z jakiej stacji, proszę, wyjechała?

— Leńczyce. O godzinie 7.10 rano.

— Może w drodze zaszedł jaki wypadek. Dowiemy się za chwilę. Będę telefonował pokolei do wszystkich posterunków na tej przestrzeni. To najważniejsze, musimy znaleźć punkt oparcia.

— Serdecznie o to proszę i dziękuję—szepnął drżącymi usty Sławek.

— Panie poruczniku, niech pan będzie spokojny, człowiek nie komar i tak łatwo nie zginie.

Począł telefonować. Pytał dokładnie. Tak szła miejscowość za miejscowością. Wreszcie doszedł do Leńczyc. Nadeszły jednakże mniej więcej odpowiedzi, nikt w pociągu nie zasiał, nikt opi-

sany nie zmarł i t. p., słowem, z całej przestrzeni nie przyszła ani jedna wiadomość, któraby jakie takie rzuciła światło na tajemnicze zaginięcie.

— Hm! Ani jednemu posterunkowi nic na tym punkcie niewiadomo. O tyle jednak jest to pocieszające, że się w pociągu wyklucza nieszczęśliwy wypadek.

— Więc cóżby się stać mogło?

Komisarz ruszył ramionami.

— Zupełnie gubię się w domysłach... To istotnie zagadka, trudna do rozwiązania! Teraz można przypuszczać, że siostra pańska przybyła do Warszawy i tu przepadła... Wobec tego ruszymy do działania cały aparat—rzekł energicznie, naciskając na biurku guzik dzwonka.

W ciągu minuty stanął służbowo przed komisarzem starszy posterunkowy.

— Czy pan Szroniec jest w biurze?

— Jest, panie komisarzu.

— Proszę poprosić do mnie.

Gdy policjant wyszedł, komisarz wstał od biurka i rzekł do porucznika:

— To najzdolniejszy wywiadowca. Jemu polecam najcięższe sprawy.

— Oby tylko dopisało mu szczęście, bo to przecież okropne!

— Miejmy nadzieję, Warszawa jeszcze nie jest Paryżem...

Wszedł młody, przystojny człowiek z angielska wygolony.

Komisarz przybyłemu wskazał fotografię.

— Ta oto pani—począł objaśniać—nazwiskiem

Anna Miłosielska, siostra obecnego tutaj pana porucznika, zamieszkała w leśniczówce w Sulisławcach, wyjechała we czwartek o siódmej dziesiątej rano ze stacji Leńczyce na ślub swej krewnej do Warszawy i ślad po niej zaginął. Zachodzi podejrzenie, że przepadła w Warszawie. Wszystkie posterunki wzdłuż linii kolejowej przesłuchiwałem przez telefon, jednak bez rezultatu. Bliższych danych nie mamy żadnych. Sprawa, mem zdaniem, jest bardzo trudna, dlatego panu ją polecam i jestem pewny pomyślnego wyniku. Oczywiście, najsamprzód weźmie pan auto i zbada wszystkie przypuszczalne lokale, później... zresztą to pańska rzecz. Powodzenia!

Po wysłuchaniu komisarza wywiadowca wypytał jeszcze porucznika o dokładniejszy rysopis siostry, różne szczegóły panotał w notesie, poczem w milczeniu oddał ukłon i wyszedł.

— Panie poruczniku, jeszcze rzecz jedna: jestem zdania, ażeby o wypadku natychmiast prasę powiadomić. Tak brak nam wątku, że... prasa może przyjść z pomocą. Nie lubię się nią posługiwać, ale obecnie byłbym za tem, by nawet zamieścić w prasie fotografię pańskiej siostry. Zresztą, to od pana zależy, od rodziny, czy sobie życzy tego... Chyba, że się wstrzymamy jeszcze?

Ślawek ani przez chwilę się nie wahał. Wielka miłość do siostry przewyciężyła niechęć do sensacji, jakiej z pewnością narobi prasa. Tu szło o siostrę, może nawet o życie ojca.

— Łaskawy panie komisarzu, ja nawet o to

proszę!—odrzekł gorąco.—Akurat może ktoś pozna siostrę i doniesie...

— W takim razie sam to zaraz załatwię.

— Panie komisarzu, niechaj aparat śledczy nie liczy się z żadnymi wydatkami... pokryję wszystkie koszty... Tylko szukajcie! szukajcie!

Komisarz przyobiecał uczynić wszystko, co tylko będzie w ludzkiej mocy.

Porucznik podał jeszcze adres i numer telefonu, poczem odjechał, pełen złowrogich myśli i przypuszczeń.

W domu Ryśki zastał ojca ledwie że przytomnego. Nie przywiózł jednak z sobą żadnych pocieszających wieści, prócz tego, że wszczęto natychmiastowe poszukiwanie. Dom cały pełen weselných gości był tak przejęty tą nieszczęsną zagadką, że wszyscy kręcili się, jak struci. Ryśka bezustannie płakała i oświadczyła, że ślub odkłada... Zapanowała ciężka jak olów atmosfera. Leśniczy popadł w tak ciężką depresję, że wezwano lekarza. Przedślubny nastrój jakgdyby w stypę się zamienił.

Szroniec gonił po mieście, węsząc wszędzie jak wyżeł. Czy uchyli zasłonę tej sensacyjnej tajemnicy?

— — — — —  
 Była siódma wieczorem, kiedy pan Jagmin wszedł do Ziemiańskiej. Siadł przy wolnym stoliku i poprosił o butelkę węgryzna. Był rozstrojony i zmęczony, więc czuł pragnienie. Od czwartku pił więcej, niż kiedykolwiek w życiu i od rana do nocy przebiegał miasto we wszystkich kie-



runkach. Szukał kogoś całą duszą i sercem, niestety, bezowocnie. Osoba, której tak bardzo poszukiwał, przepadła w tłumie, jak kamień w morskich falach. A wszak poznała go... wszak obejmowała się z autem... Czemuż do dzisiaj nie wyszła na ulicę? Wszystkie je przebiegł kilka razy na dobę, jednak napróżno. Zjawiła się i zniknęła jak złuda! I tak jak złudę poniósł ją ongiś pociąg... Co za fatalne spotkania. Dobiega właśnie rok, rok męki i ośleplej miłości. Inzeraty w dziennikach przeszły bez echa. Począł pozbywać się nadziei, że ją napotka jeszcze. Aż nagle w dniu wczorajszym zjawiła mu się w oczach, lecz przekłety ruch miasta pochłonął ją w swe fale! A wszak dla niej przyjechał do stolicy gdzieś z nad zakątków Dżisny, jakgdyby przeczuł to spotkanie... I przeczuł nieomylnie, znowu spojrzął w te ukochane lica i znowu je utracił!

Jagmin pił chciwie i jeszcze chciwiej palił. Myśli jego nad czymś usilnie pracowały. Pozostawał mu teraz jeden ratunek: odszukanie auta, którym jechała... Szczęśliwym trafem numer wozu wpadł mu w oczy. O ile dobrze zapamiętał — 1013. Nie był przesądny, lecz ta „trzynastka“ dziwnie go uderzyła. Tego jednakże już nie poznał, czy to była taksówka, czy prywatny samochód. Będąc atoli w posiadaniu numeru, był niemal pewny, że wóz odnajdzie, że na trop wpadnie, choćby miał szukać we wszystkich województwach.

Po chwili druga myśl przyszła mu z nową radą; wydrukować odpowiednią ulotkę... Jął ją

mocno rozważać, tak się ponętą wydawała. I ta ostatnia zwyciężyła. Pierwszą, w każdym razie trudniejszą, pozostawił w rezerwie.

Poprosił więc o papier i jął pośpiesznie redagować:

„Panią, jasną szatynkę, znaną mi z przed roku z Alei Ujazdowskiej, którą w pierwszych dniach wakacyj uniósł odjeżdżający pociąg w ostatniej chwili mojego spostrzeżenia, a która onegdaj, dnia czternastego czerwca, jechała autem ulicą Marszałkowską i oglądnęła się za dobrze znajomym jej z widzenia—proszę na wszystko o przyjęcie przed Teatr Wielki dzisiaj w niedzielę, o szóstej po południu.“

Po przeczytaniu naszkicowany komunikat wydawał mu się całkiem dobry, choć mocno ekscentryczny. Mimo to jednak postanowił dać go natychmiast wydrukować w liczbie kilku tysięcy egzemplarzy i jutro w czasie wzmożonego ruchu dać rozrzucić po mieście. Liczył, że nieznajoma znajduje się w Warszawie, a zatem i ulotka odniesie skutek pożądaný.

Ulżyło mu się nieco. Pił duszkiem wino, aby się udać do najbliższej czynnej jeszcze drukarni, gdy wtem do sali wszedł kamelot z plikiem gazet pod pachą.

Jak zauważył Jagmin, goście dość żywo nabywali gazetę. Kamelot, przemykając się pomiędzy stolikami, zbliżył się do Jagmina.

— Express Wieczol (rny)—Tajemnicze zniknięcie uroczej leśniczka (nki) w Warszal (wie)—ozna-

jomił swoim specjalnym akcentem, potykając końcówki.

Jagmin również wyciągnął rękę po gazetę. Czy jego padły odrazu na sensacyjny tytuł, wydrukowany wielkimi literami zaraz na pierwszej stronie i równocześnie na podobiznę zaginionej.

Jakgdyby nagle wrósł spojrzeniem w ten obrazek... Na ciele uczuł zimne mrowie... Pociemniało mu w oczach...

Tą zaginioną leśniczką—była ona...

Nie oddychając prawie, czytał, a raczej wchłaniał każde słowo.

Artykuł był utrzymany w tonie niezwykle sensacyjnym. Wszystko około tego się kręciło, że wyjechała z domu na ślub kuzynki do Warszawy i zginęła bez śladu. Gdzie—nie wiadano. Wreszcie poza likiem najbardziej fantastycznych przypuszczeń, nadmieniono, że rodzina przeznacza wysoką nagrodę dla tego, kto wskaże miejsce zaginionej lub na ślad tejże naprowadzi. Proszono o wiadomości do biura policji, ewentualnie pod prywatnym adresem.

Rozdygotany Jagmin przeczytał kilkakrotnie tę okropną wiadomość. Zahuczało mu w głowie i ból ścisnął mu serce, że ledwie utrzymał się na krześle.

— Miłosielska z Sulisławic... leśniczanka...—wirowało mu w myślach. — Boże! co się z nią stało?!

Z trudem się jako tako opanował. Nie dopił wina, tylko zapłacił i wybiegł naulicę.

Pierwszem jego postanowieniem było jechać natychmiast pod wskazanym adresem.

— Nikt nie wie, czy dojechała do Warszawy... a ja przecież ją widział... Jest moim świętym obowiązkiem powiadomić rodzinę... — szeptał do siebie gorączkowo.

Popatrzył na zegarek, była punkt ósma. Nie bacząc na opóźnioną porę, machnął ręką i pobiegł do postojów taksówek.

Jadąc, począł usilnie coś planować. W jakimże charakterze stanie przed jej rodziną? Z tą wiadomością tylko i na tem rola jego się zakończy? To mało, Jagmin nagle zapragnął działać, szukać swojego skarbu, choćby świat cały miał przewrócić! Stało się to odrazu imperatywem jego duszy.

Jak prędko powstał, tak prędko plan w nim dojrzał.

— Tak, tak będzie najlepiej! — znowu szepnął do siebie. — Trzeba się zmienić w detektywa i oby fortunego!...

Po chwili znalazł się u celu. Wchodząc na piętro, coś mu szepnęło, czy jednak nie byłoby rozsądniej zamilczeć narazie o tem spotkaniu zaginionej... Wprawdzie może to śledztwo znacznie uprościć, jednakże na rodzinę jeszcze gorzej podziałać. Poco ból jeszcze rozdrapywać?

Jagmin uznał to pierwsze i zadzwonił. Podał służącej bilet. Po krótkiej przerwie poproszono Jagmina do gabinetu. W drzwiach go przywitał ojciec Ryński.

— Jestem Witold Jagmin, prywatny detektyw...

Gospodarz podał mu rękę i szepnął swe nazwisko.

— Proszę łaskawie zająć miejsce—wskazał na fotel.

— Dziękuję. Proszę o wybaczenie, iż wybrałem tak niestosowną porę, ale w tej chwili właśnie przeczytałem w Expressie... Pan może ojcem zaginionej?

— Nie, ale jest tu i ojciec, tylko tak to nie szczęście podziałało na niego, że leży ciężko chory... Zresztą, jest tu i syn, oficer, może poprosić? Panowie sobie pomówicie.

— Jeżeli łaska, proszę.

Za małą chwilę zjawił się Sławek Miłosielski. Odrazu uderzyło Jagmina niezwykle podobieństwo porucznika do siostry.

Jagmin przedstawił się, poczem wyjawiał cel przybycia.

— Proszę pana—jął wolno mówić dalej—nie przychodzę tu poto, aby narzucać swe usługi, tylko je ofiarować... ofiarować zupełnie bezinteresownie, z tytułu mojej wewnętrznej powinności oraz współczucia.

Sławek skinieniem głowy podziękował.

— Otóż chciałbym zasięgnąć pewnych danych... oczywiście, o ile pan jest łaskaw i takich zechce mi udzielić.

— Ależ z największą chęcią, tu przecież idzie o mą siostrę!—wyrzekł z wyraźną gotowością.

— Jak czytałem w Expressie, to policja już wszczęła dochodzenia...

— Tak.

— I nic jej dotąd niewiadomo?

— Nie, nadal szukają śladu. Istnieje tylko przypuszczenie, że siostra przybyła może do Warszawy i tu... Bóg raczy wiedzieć, co się stało... Na przestrzeni, którą jechała, nie zdarzył się od czwartku żaden nieszczęśliwy wypadek. Już w tym kierunku są raporty.

— Ja osobiście bardzo cenię policję warszawską, sądzę jednakże, że i moje usługi na coś się przydać mogą...

— Serdecznie pana o to proszę, jeśli tak wielce jest łaskawyl— wyrzekł ze drżeniem w głosie. Poznać było odrazu, jak bardzo kochał siostrę.

— Otóż, wracając do tematu, znamy tylko sam nieszczęśliwy fakt: wyjechała i ślad po niej zginął. Teraz pozwolę sobie zapytać pana porucznika, czy siostra stale mieszkała w Sulisławcach?

— Od ubiegłego roku szkolnego, w którym ukończyła studja—to stale.

— Nie wyjeżdżała z domu?

— Przez cały czas zupełnie, dopiero w ów fatalny czwartek wyjechała na ślub kuzynki, właśnie do tego domu. Dziś miał być ślub. Przyjechał ojciec i ot, leży w pokoju odrętwiały. Straszna wiadomość z nóg go zwała. Oczywiście ślub odłożono, a garstka bliższych gości czeka w salonie, że może, może przyjdzie jaka wiadomość... Okropne! Prostu rady sobie dać nie mogę, żem nie mógł wyjść na dworzec... wiedziałem przecież, że przyjdzie we czwartek. Niestety, byłem zajęty na lotnisku.

— Któż mógł przewidzieć?

— Pewnie, inaczej samej byłby ojciec nigdy z domu nie puścił.

Jagmin coś wazył w myślach.

— A proszę pana, bywał kto w leśniczówce, naprzykład, z młodych panów?

— Swojego czasu bywał pan baron Hibl, syn chlebodawcy ojca, lecz przestał bywać jeszcze zeszłej jesieni.

— Może powiedzieć pan, dlaczego?

— Otwarcie mówiąc, durzył się w siostrze, lecz ona razem z ojcem byli przeciwni temu. To magnat, nie dla siostry, przytem kobieciarz i hulaka.

Jagmin tak przejął się swą rolą, że każde słowo wbijał w pamięć!

— Więcej nie bywał nikt?

— O ile wiem, to nikt. Tam w domu leśna pustka. Swoją drogą, w Warszawie nie brakło siostrze konkurentów—jeden to mój kolega pilot, jakiś tam jeszcze technik, redaktor, atoli siostra ani jednego nie traktowała na serjo. Ją ciągnął las, przyroda, ogródek kwietny. Miasta poprostu nie znosiła.

Jagmin pił te słowa jak balsam i jeszcze więcej cierpiał.

Znów począł pytać dalej o przeróżne szczegóły. Jednak ów młody baron o tak ujemnej opinii coś mu szczególnie utkwil w głowie. „A nuż chciałby się zemścić—myślał uparcie—licho wie wkońcu, co w takiej duszy mogło powstać po otrzymaniu kosza!”

Temat nareszcie się wyczerpał. Przez cały czas

rozmowy Sławek przedziwnie sympatycznie wpatrywał się w nadzwyczajnie gładkiego i wytwornego detektywa. Miał w sobie tą tak rzadką zaletę, która od razu zjednywa sobie ludzi.

Wstano z fotelów.

— Wprawdzie pan się zastrzegął—odezwał się porucznik trochę niepewnym głosem—ale zapewne będą różne wydatki...

— Uprzejmie proszę, nie wspominajmy o tem.

— Przecież to pański zawód...

— Może, i nie... W gruncie rzeczy jestem rolnikiem... mam majątek w Widzewskim... Zaś w detektywa lubię się bawić z amatorstwa, z pasji! To mi czasami daje wspaniałą emocję... Oby łaskawy los i teraz mi jej nie poskąpił, a przede wszystkim dał jak najlepszy wynik... Żegnam pana porucznika i obiecuję dać znać o przebiegu moich skrzętnych poszukiwań...

Ostatnie oświadczenie zdumiało porucznika do tego stopnia, że nie mógł znaleźć słowa. Czuł tylko, że ten ciekawy człowiek serdecznie dłoń mu ścisnął i pożegnał spojrzeniem dziwnie przyjaznym...

Pierwsze kroki skierował teraz do najbliższej kawiarni, do telefonu. Przypuszczał na podstawie opowiadania porucznika, że Miłosielska, przybywszy do Warszawy, wynajęła taksówkę, którą właśnie jechała. Sądził, że ta taksówka winna mieć postój koło dworca, w każdym bądź razie chciał się jeszcze upewnić.

Po niespełna kwadransie był w posiadaniu wia-



domości, że taksówka Nr. 1013 istotnie ma przeznaczo y postój tuż przed wiedeńskim dworcem.

Bez straty czasu wsiadł do tramwaju. Na rogu Alei i Marszałkowskiej wyskoczył na ulicę.

Przejrzał wszystkie numery ustawionych taksówek, poszukiwanej jednakowóz nie znalazł.

— To nic, jest pewnie w kursie — pomyślał Jagmin.

Nie było wyjścia, trzeba było czekać cierpliwie.

Nareszcie, może po dwudziestu minutach oczekiwania wóz zatoczył się na plac.

— Ten! — szepnął Jagmin. — Nawet szofera sobie przypominam...

Bezwłocznie skierował się do wozu.

— Na Szczęśliwicką Drogę, na powietrze! — dał rozkaz szoferowi.

Motor, który co tylko przestał dyszeć, znów się odezwał. Pomknęli.

— Boże, tym samem wozem jechała ona... — westchnął, na wszelki wypadek opatrując browning. — Biedna, co się dziś z tobą dzieję?

Odrzucił jednak nabok tkliwość i jął planować rozmowę z szoferem. Umyślił podstęp, a gdy on się nie uda, to za powrotem postanowił areztować szofera. Pewny był bowiem, że ten człowiek jest w stanie choćby cośkolwiek rozświetlić tajemnicę.

Byli już poza miastem.

Jagmin dał szoferowi znać, aby zawrócił i przystanął.

— Tu odetchniemy chwilę na powietrzu— poczaj spokojnie.

— Owszem, bardzo tu jest przyjemnie.

Miesiąc oświetlał prawie bezludną drogę.

Jag nim dał szoferowi papierosa i sam zapalił. Gdy mu przyświecał, rzekł miękko i swobodnie:

— Ja sobie pana przypominam... Przedwczoraj, to jest we czwartek koło pierwszej godziny po południu wiózł pan przez Marszałkowską uroczą, młodą pasażerkę... Tym właśnie wozem, bowiem nawet numer pamiętam — 1013... nieprawdaż? — zaszachował go z miejsca.

Szofer trochę się zmieszał, lecz wlot się opamiętał.

— Ile ja wożę pięknych kobiet, ktoby to mógł spamiętać! Przecież to jest Warszawa...— odrzekł wymijająco.

— No tak, ale tę chyba pan sobie dobrze przypominasz? Wszak to było onegdaj, a takiej pasażerki nie zapomina się prędko, tem więcej, gdy jeszcze jest się młodym — dodał z uśmiechem. — Powiem panu otwarcie, o co mi idzie: o jej adres... względnie o dom, pod który ją pan podwiózł. Umyślnie poto wyjechałem tu z panem by swobodnie pomówić... Z chwilą, gdy pan mi to wyjawia, to ot, w tej chwili to jest pańskie!— wyrzucił, wskazując szoferowi gruby zwitek banknotów.— Szalenie mi zależy na tej kobiecie!

Szofer zaczął się wahać, patrząc w Jagmina podejrziwie.

— Kiedy naprawdę nie przypominasz sobie...

— Pan kłamie albo nie chce powiedzieć, ewentualnie jest z nią w spółce...

— W jakiej, z kim?

— Właśnie z tą piękną pasażerką! Wprost panu mówię, o co mi się rozchodzi. Ta kobieta była moją kochanką... okradła mię i uciekła!

Wypowiedziane słowa zapiekły go jak ogień.

Szofer ochłonął, gdyż miał inną przyczynę niepokoju.

— Widzi pan zatem, że mam słuszne powody poszukać jej adresu...

— Jeżeli tak, to pewnie! A to cholera! Ktoby przypuszczał, że taka elegancka kobieta na to się porwie! A to ci ziółko!

Jagmin ledwie się pohamował, aby szofera w łeb nie trzasnąć za ten epitet.

— Otóż, panie kochany, bierz pan pieniądze i mów jak człowiek do człowieka... Do diabła! Przecież mężczyźni winni być solidarni! Narazie jest tu dwieście złotych, a jeśli mi się uda odebrać skradzione kosztowności, dołożę panu drugie tyle!

Szofer jął się odciągać, jednakże Jagmin gwałtem pieniądze wepchał mu do kieszeni.

— Proszę ja pana, jestem dyskretny człowiek, ale jeśli ta swolocz okrada swych kochanków, to powiem, ile jest mi wiadomo.

Jagmin aż przygryzł wargi.

— Dobrze, że wiem, co to za ananasik! — mówił dalej podochocony szofer. — Akurat wpadła w ręce dwóch eleganckich panów, moich najlepszych gości, a więc trzeba ich ostrzec!

— Jakich panów?

— Hrabów!

— I do nich ją pan zawiózł?

— Niechże pan słucha: nie do nich, bo oni sami ją powieźli. Zaś tego, gdzie ona ma mieszkanie, to już nie wiem, proszę pana. Taka mieszka wszędzie i nigdzie. Ot, we czwartek ze świata przyjechała pociągiem.

— A więc gdzie ją pan wywiózł? — spytał zniecierpliwiony Jagmin, ledwie pochwycić mogąc oddech.

— Z mej taksówki wysiadła na rogu Senatorskiej. Tam już Lancia, własność tych panów czekała na nią...

— I pojechała z nimi? Jakże to było?

Szofer uśmiechnął się, pociągnął papierosa i rzucił niedopałek.

— Proszę pana, ja byłem z nimi namówiony... Przecież to moi starzy goście. Udałem więc, że mi się motor zepsuł i stanąłem przy czekającej już Lanci. Tamten szofer, również wtajemniczony w sprawę, wlot zabrał jej walizki i poprosił do wozu. Dokąd zabrali ją ze sobą, tego już nie wiem, jednak za chwilę mogą dowiedzieć się, gdzie przynajmniej ci panowie mieszkają.

— W jakim to sposób? — zapytał szybko Jagmin, opancwując z trudem rozdygotane nerwy.

— Bo wiem, gdzie mają garaż, a szofer przecież będzie wiedział. Oni są tacy, że obaj mają swe auta, ale najczęściej jeżdżą na lampki mojem.

Jagmin chciał naraz wszystko wiedzieć.

— Dobrze już, dobrze, jednak dlaczego z ową panną mieliście tyle ceregieli, że aż podstępnie użyliście?

Dał mu świeżego papierosa.

— Panie łaskawy, to prosty kawał. Powiem z początku; najprzód Lancią przyjechał do mnie jeden z panów, jakożem jest znajomy i mam taksówkę, i tak powiada: O dwunastej minut czterdzieści przyjedzie tu pociągiem tip-top panienka, której chcemy wyrządzić niespodziankę... Pan Hans, (tak jest na imię temu drugiemu panu) wyjdzie z dworca tuż za nią i wskaże wam ją głową. Wtedy wy, jako taksówkarz, walcie do niej czem prędzej i proście ją do wozu. Mój szofer da pozór na wasz kierunek jazdy, minie was, potem w stosownem miejscu stanie. Wówczas przy moim wozie wam winien motor zdefektować, a szofer mój zabrać ową kobietę... I tak się stało. Dalej to pan już wie, jak my ją przesadzili... A szkoda, gdybym był wcześniej o tem wiedział, to nie zważając na swych gości, byłbym ją panu przytaskał do mieszkania... Teraz ona gotowa im wypłatać niespodziankę, a nie jej oni! Morowi są, to prawda, jednak ich może wywieść w pole...

Jagmin już ledwie wstrzymywał się na wodzy.

— Cóż to za jedni owi panowie? Jakże się nazywają? Może ja ich znam nawet...

— Kiedy nie znam ich nazwisk. W każdym razie obydwa są hrabiami. — Nie kłamał i Jagmin nie podejrzewał go o to.

— Młodzi?

— O, tak, mają koło dwudziestu sześciu lat. Jednego poznać bardzo łatwo, gdyż ma cieniutki i zakrzywiony nos, jak jastrząb.

— A drugi?

— Ot, również przystojny, bez zarostu, brunet.  
 — Eh, co mi o nich!—rzekł nagle Jagmin po-  
 drażniony.—Jedź pan do owego garażull  
 — Pewnie, że to najlepsze wyjście.

Wóz ruszył rażno.

Mimo straszego niepokoju, jaki Jagmina tar-  
 gał, o los nieszczęśliwej ofiary, przecież nie mały  
 ciężar spadł mu z piersi. Był na tropie złoczyn-  
 ców. Aż sam się dziwił, że mu tak łatwo było  
 pozyskać zaufanie szofera. Podstęp udał się zna-  
 komicie. To go tak bardzo podnieciło, że lotem  
 błyskawicy chciałby gonić we wszystkie strony  
 i ukochanej nieść ratunek.

Auto gnało pełnym gazem, aż się strąciło na  
 Czerniakowskiej.

Szofer pod opieką Jagmina pozostawił taksów-  
 kę, a sam zaś zniknął wśród wielkiego podwórza.

Upłynął przeszło kwadrans, zanim zpowrotem  
 się pokazał.

— Bodaj to wszyscy djabli! — zaklął zaraz na  
 wstępie.—Szofer, jak wyjechał we wtorek, tak nie  
 powrócił dotąd. Ten znów, od drugiego hrabiego,  
 zwiął gdzieś autem ze swoją narzeczoną, a mówią,  
 że zwykle wraca po północy. Przynajmniej jed-  
 nak to jedno zdołałem się dowiedzieć, że jeden  
 hrabia, lecz nie ten Hans, ma dobra w Sulisław-  
 cach, gdzieś około Kobrynia...

Jagmin w pierwszej chwili aż zdębiał.

— Gdzie, powiadacie?

— W Sulisławcach, koło Kobrynia. I nie jest  
 wcale hrabią, tylko baronem.

— No, a ten drugi?

— Też się pytałem, lecz koledzy nie wiedzą i nie znają ich nazwisk.

Jagmin z całym wysiłkiem woli udał, że go niewiele to obchodzi. Już wiedział najważniejsze, poznał jednego sprawcę... Jakżeż nie omyliło go pierwsze powstałe w duszy podejrzenie.

— Słuchajcie, moi drodzy, ja jeszcze tego nie rozumiem dokładnie: czy oni wszyscy troje w jednym aucie odjechali?

— Ależ bynajmniej, proszę pana! W Lancii był tylko szofer i ten powiózł tę panią we wskazanym kierunku, a zaś obaj panowie pojechali wślad za nią drugim krytem autem. To właśnie już wróciło, tylko lichy poniosło gdzieś szofera. Zresztą nic się nie stało, przyjedźmy tutaj jutro rano, to się dowiemy wprost od świadka, co się właściwie później stało i jak się nazywają.

— Pewnie, że tak będzie najlepiej — odrzekł Jagmin pozornie obojętnie i kazał wieźć się do swojego hotelu.

Już niemal wszystko wiedział, co mu było koniecznym. Nie myślał wcale aż do jutra czekać na owego szofera, bowiem tu każda chwilka nakazywała szybko działać.

Tu miał już wytyczną — Sulisławce, tam się niechybnie dowie reszty. Ostatecznie w razie potrzeby mógł w każdej chwili powrócić do Warszawy i wziąć na spytki Hiblowego szofera. Obecnie czas go naglił. Pojmował sprawę w całej ohydzie czynu: porwano nieszczęśliwą, by dać ją na żer dzikim zmysłom. Gdzie ją jednakże wywieziono? Sulisławce z prostej przyczyny nie wcho-

dzily w rachubę, tylko jakaś spelunka albo dom Hansa...

Dojechano przed hotel.

— Zatem, jeśli mi czas pozwoli, to się udamy może jutro do owego garażu...

Coś jeszcze wręczył szoferowi i szybkim krokiem wszedł do bramy.

W niespełna pół godziny był już gotowy do podróży.

Jeszcze do porucznika nakreślił kilka słów:

„Jestem na dobrym tropie, Siostra żyje. Proszę się uspokoić. Witold Jagmin“.

Schodząc zpowrotem, dał list portjerowi, aby go jeszcze dzisiaj doręczył przez posłańca.

Jeszcze czas pewien zajęło wyszukanie i zgodzenie dobrego samochodu na całą dobę.

Podczas gdy Jagmin posilał się w „Cristalu“, szofer gotował się do drogi.

W godzinę później już Jagmin mknął w kierunku Brześcia Litewskiego i Kobrynia.



## V

### UCIECZKA

Mimo choć się uczynił pełny dzień, ponury zamek dalej pogrązał się w głuchocie.

Z jakimże utęsknieniem i nadzieją czekała Hanka na tę porę! Była pewna, że teraz ranek się ożywi, że przecież gdzieś w pobliżu ktoś z ludzi się pokaże, że pocznie wołać o ratunek, że krzyk rozpaczny kogoś przywoła... Niestety! Tu, zda się, nikt nie mieszkał oprócz zbrodniarzy, tu wszystko było wrogie...

I tak było istotnie. Tu rezydował tylko pan Hans von Steinbock ze swymi przyjaciółmi... Tu odbywały się dzikie nocne zabawy, orgje, gwałty... Tu bożek zmysłów rozkielzanych święcił stale swe święto. Właściwy dwór znajdował się hen za ogromnym parkiem i ten już dawno zawrzał życiem. Tu panowała wokół pustka, ożywiona jedynie świergotem ptactwa, oraz kumkaniem żab w pobliskim stawie. Dziwnie tu było ponuro i tajemniczo. Spód parku pokrywały najrozmaitsze

krze, wysokie zielska, spletane dzikim chmielem, wreszcie zwarte gąszcze leszczyny. Liczne aleje zarosły trawą, że ślad tylko z nich został. Hans Steinbock, obecny dziedzic i gospodarz, nie miał czasu zwracać uwagi na to zapustoszenie, ojciec kurował się w Ostendzie, a matka od kilku lat nie żyła. Słowem, park w tej połaci wyglądał raczej na skrawek starego boru. Troskę o kulturalny wygląd było jedynie widać około dworu.

Zmęczone oczy Hanki raz wraz spoglądały łakliwie między drzewa, że przecież wreszcie napotkają człowieka, aliści bezowocnie. Tylko zdaleka, zdaleka, gdzie błękitniało w słońcu niebo, dolatywały ludzkie głosy i wrzaskliwy krzyk pawia.

Głodna i wyczerpana trzymała twarz przy kracie, chłpiąc ostatki łez. Chłód ją przejmował, chociaż na świecie było ciepło. Łaskawe słońce, jakby widząc przejmującą ją dreszcze, wzniosło się właśnie ponad drzewa i objęło siedzącą w oknie ramionami promieni. Z całym oddaniem przyjęła tę pieśczęotę. Jak diamenty zaiskrzyły się w blaskach łzy bezradności i rozpaczy.

Co ją tu jeszcze czeka? Dokąd będzie tu więzieniem? Wciąż te pytania przeraźliwe tłukły się jej po głowie, zaludniając komórki mózgu korowodami widm. Ciągłe się jej zdawało, że ktoś na palcach stale się kręci poza drzwiami, że cicho drzwi uchyla, że wciąż ją śledzi... Więc się trzymała na baczności i za najmniejszym szmerem broń kierowała w drzwi. Stałe napięcie nerwów tak ją zmęczyło wreszcie, że zrodziło myśl straszną: sa-

mobójstwo... Myśl o strasznem poddaniu bardziej ją bowiem przerażała, niżli ta ostateczna.

Spoglądnęła na browning, lecz się wstrząsnęła... Tak się jej nagle zdało, że zimna i połyskliwa stał spojrziała na nią okiem gada... Równocześnie stanął jej w oczach ojciec... brat... żywiczy las...

Przeżegnała się szybko, aby odgonić złą pokusę.

— Jezul Marjol

Lecz brat i ojciec już jej z ócz duszy nie schodzili. Zjawili się w tej strasznej chwili niby anioły-stróże. Poczęła im się w duchu skarżyć, roniąc łzy nieustannie:

— Tatusiu... Sławku... ratujcie!...—szedł szept z spieczonych ust.

Jednak ratunek nie przychodził...

Już wprost ołowicie wisały jej u powiek.

Pięściwe słońce mgłą oczy zasłoniło.

...Och, gdyby zasnąć choć na chwilę! choć na maleńką chwilkę!...

Wszak jakoś teraz cicho...

Nie, nie! za nic nie zaśnie! Zbiry czekają na to!

Nie zaśnie, wytrwa, ale choć oczy zmrúży...

— Zmrúżyłam, a przecież czuwam...—wyszeptwała do siebie, zupełnie czując się przytomną.

...Przecież wreszcie poczną mię poszukiwać... Cudu wprawdzie potrzeba, aby mię tu odnaleźć, lecz Bóg jest dobry... Cóż zawiniłam?

Ku drzwiom zwróciła mętne oczy, by się upewnić, że przecież czuwa i zdaje sobie sprawę z maleńkiego wytchnienia.

...Ryśka! już jutro ślub... Jakżeż się musi niecierpliwieć, że mię dotychczas niemal Boże! co tam się będzie działo, kiedy przyjedzie tatuś!.. — „A gdzie jest Hania?“ — „Jakto? Nie przyjechała!“ — odpowiada. — „Czekaliśmy... wreszcie tak sądziliśmy, że oboje dziś razem...“

...Jakżeż przerażą się!!! I co też poczną? Oczywiście najprzód zawiadomią policję... Sławek wszystko poruszy... Kochany Sławciu! Jestem pewna, że on zabije Hibla, że mię będzie chciał pomścić..

Znowu ku drzwiom spojrzała, bo jakby ktoś tam stapał. Otrzeźwiła się trochę. Poczęła chwilę zastanawiać się nad czemś, poczem ostrożnie wzięła stoliczek i postawiła go przy samych drzwiach. Dla pewności tacę z niewypitą herbatą ustawiła tuż na krawędzi. W czasie tej pośpiesznej czynności, leżące ciastka wspomniały jej o głodzie, jednak z odrazą odwróciła się od nich.

Po ustawieniu tej lichej barykadki, wróciła znów do okna.

...Teraz już śmielej mogę przymknąć powieki—pomyślała.—Otwarcie drzwi przewróci stolik i oprzytomni mię odrazu...

Usiadła w słońcu i znowu myślom dała się opajać.

...Pomści mię... pomścił! Co też stary pan baron powie na to, gdy dowie się, że jego syn... Chyba się go wyrzecze! Co za okropna będzie awantura! skandal! Chociaż, kto wie? Nuż ujmie się za synem i tatusiowi podziękuje za pracę?

Boże mój! Trzeba się rozstać z lasem... z ogródkiem...

...Tam teraz świeci słońce, to samo, co i tu... Witulka pewnie rozwija już pączusie... Czulkę, czy ty też czujesz, co się z twą panią stało? Och, gdybyś czuł i chociaż Doksa przysłał mi na ratunek! On już barona zna, onby się nie bał!... Piesku mój wierny! i takbyś przecież nie przegryzł owych krat... Tylko czekałbyś, wył... ażby się wreszcie zlecieli ludzie...

...Jednak Stawek mię pomści... Na ślub nie zdążę już i tak... Trudno, Ryśka się nie pogniewa, gdy dowie się, co zaszło... A może właśnie zdążę... może ratunek już się zbliża, może już niedaleko...

Czyjeś przejasne oczy spojrzały teraz na nią... Oczy dobre, łagodne, jak u dziecka, dziwnie porywające oczy... Spojrzenie ich ogarnia ją, jak morze, jak głęboka toń nieba... jak wielka, słodka cisza... jak chwila szczęścia i zachwytu... zapamiętania... ukojenia...

Zasnęła, zapatrzona w bezmiar tych jasnych oczu. Przeżyta w męce noc, pieściwe słońce i to chwilowe rozmarzenie pokonały jej wolę. Spała, wsparta skronią o kratę, w strudze słonecznych blasków.

Naraz, może po upływie ćwierci godziny, wpadł w uszy śpiącej brzęk tłuczonego szkła...

Zeskoczyła z framugi i momentalnie otwarła przerażone źrenice. Stolik jednakże stał na swem miejscu nienaruszony... Był to na szczęście koszmarsny. Jak skra w popiele, gdzieś na dnie móz-

gu drzemał ostrożny lęk i teraz nagle się przebudził.

Świadomość, że mimowoli dała się przemóc snowi, podziałała na nią obecnie jak lodowaty tusz. Te kilka minut snu i wypoczynku nerwów porzepiły ją znacznie. Nieznośny ciężar spadł jej z powiek zupełnie. Usunęła stoliczek na dawne miejsce. Znow się ponownie rozpoczęło czuwanie, pełne najokropniejszych myśli i przewidywań. Wśród tych warunków, w których każda minuta zdawała się wiecznością, miało trwać ono jeszcze długo—aż do południa. W oczekiwaną pomoc Stefi zwątpiła już doreszty.

Z chwilą, gdy zrozpaczona Hanka już sama chciała dobijać się do drzwi, te się ostrożnie uchyliły.

— Jest pani wolna i może w każdej chwili opuścić pokój—rzekł niskim głosem krępy, nowo-przybyły człowiek.

Po słowach tych ukłonił się przesadnie i zaraz odszedł, pozostawiając drzwi otworem.

Minęła dobra chwila, nim Hanka opanowała niesforne myśli. Twarz owego człowieka poznała od pierwszego wejrzenia; tym samym niskim głosem prosił ją szofer do auta na rogu Senator-skiej.

Wahanie Hanki—co uczynić—trwało dość długo. Myśl o nowym podstępie nie opuszczała jej ani na okamgnienie. Dalsze pozostawanie pośród tych czterech ścian nie dawało żadnych widoków zmiany na lepsze. Rozpacz nieszczęsnej dosięgła już zenitu. Postanowiła wyjść i raczej stanąć do walki

oko w oko, niżli się dalej tu zamęczać. Docna zszarpane nerwy nie mogły już znieść dłużej beznadziejnego położenia.

Zostawiając walizę, tylko z torebką w ręce i gotowym do strzału browningiem wyszła ostrożnie na korytarz. Był pusty. Powoli, krok za krokiem, doszła do schodów. I tu nikogo nie spostrzegła. Z bijącym sercem poczęła schodzić ku dołowi. Parterowy korytarz też świecił pustką. Spostrzegła z niemąłą ulgą, że brama jest otwarta...

Zatrzymała się chwilę, rozglądając się wokół i przyciskając rękę do rozdrzętego serca. Nic jej tu jeszcze nie groziło. Słoneczny dzień wyciągał do niej zbawcze ramiona...

Już szybkim krokiem poczęła iść ku bramie... Na progu jednak wstrzymała nagle kroki, bo nuż za murem czyha na nią zasadzka?

Jak najostrożniej jęła wychylać głowę...

Połowa bramy, otwarta aż do ściany, teraz się nagle odchyliła i dwie drapieżne ręce ukrytego szofera porwały się znienacka ku plecom Hanki. W sekundzie jednak, nim ją zdołały chwycić w szpony, ta błyskawicznie z krzykiem lęku obróciła się do napastnika i równocześnie huknęła strzał... Mimo to ale już ją dopadły wrogie ręce i jak pyton oplotły...

Świsnął strzał drugi... dwa ciała w walce zwaliły się na ziemię...

Aliści w jednej chwili ten straszny uścisk pękł...

Dwa strzały—jeden w kość ramieniową, drugi w kolano—złamały siłę napastnika...

Hanka zerwała się z ziemi i naoslep, prosto przed siebie, w park, jęła uciekać, ile jej sił starczyło.

Zbir chciał się dźwignąć, gonić, ale napróżno! Jęk i przekleństwo razem z ubez władnionem ciałem tarzały się po progu.

Dwie męskie sylwety pojawiły się nagle, na korytarzu jakby z pod ziemi.

Ranny z nowem przekleństwem wyciągnął zdrową rękę w kierunku parku.

— Uciekła... tam... gońcie!...

Lecz jęk szofera i to tarzanie się po progu nie zachęcały wcale do pogoni.

— Gońcie, bo zdradził... W łeb palcie!—krzyczał szofer.

Słowa te wytrąciły odrazu barona z osłupienia. Jak dziki zwierz, pełen wściekłości i przerażenia, zawrócił po rewolwer. Teraz to jedno wyjście mu zostało—kulą zakończyć przekłętą niefortunność i na dnie stawu zatopić tajemnicę...

Blady, jak wapno, Hans dźwignął z trudem rannego i począł wlec go korytarzem.

Zanim wśród pomst i jęków dowlekli się do schodów, te zadudniły i wypadł baron, jak obłąkaniec.

-- Frydzie!—chciał go powstrzymać Hans.—To niema sensu, lepiej...

Baron, jak głuchy, pognął dalej. Poniósł go szła wściekłości i zawodu, i strasznych szeptów strach.

A Hanka, jakby przeczuwając tę pogoń, wreszcie podniecona i walką, i wolnością, pędziła naprzód.



bez wytchnienia. Nie dbała, że gęste krzewy ka-  
lecza jej ramiona i rozdzierają szaty, że przy-  
ziemne gałązki płaczą jej nogi, że park zdaje się  
nie mieć końca... ona biegła, upadała i zrywała  
się naprzód, ścigana trwogą, ztem widmem, wszyst-  
kiem najgorszem. Tak heroicznie i prawie cudem  
zdobyta wolność dodawała jej siły i bezustannie  
krzyczała nad uszyna:

— Uciekaj! uciekaj! uciekaj!!

Nareszcie park się skończył. Zamykał go gę-  
sty żywopłot z głogu. Nie było mowy aby się  
przezeń przedrzeć. Hanka przebiegła wzdłuż, wy-  
patrując krwią nabiegłymi źrenicami jakiej takiej  
szczeliny. Na szczęście znalazła ją po chwili. Z tru-  
dem, przez ciernie i pokrzywy, przedostała się  
wreszcie za żywopłot. Obok biegła drożyna, a tuż  
poza nią ciągnął się nieprzejrzane ogromny łąn  
pszenicy.

Hanka zapadła w zboże. Coś ta drożyna, łat-  
wiejsza do ucieczki, nie znęciła jej sobą. Bała się  
spotkać z ludźmi, tu wszystko dla niej wydawało  
się wrogiem.

Coraz dalej i dalej chygotały się kłosa, jakby  
je kto podcinał, wreszcie i one znieruchomiały  
w skwarze południa...

Baron gonił po parku i przeglądał zarosła, jed-  
nak wciąż bezskutecznie: ofiara jakgdyby w zie-  
mię się zapadał. Mimo to jednak nie powracał,  
węszył na wszystkie strony, nawet poza obrębem  
parku.

Zzajana i wyczerpana Hanka upadła wreszcie  
w gąszcz zbożowy i powstać już nie mogła. Twarz

jej nabiegła krwią i spływała potem. Dławiło ją zmęczenie. Nieznośny upał doreszty ją osłabił. Zdawała sobie wprawdzie sprawę, że uzyskana wolność jest dalej zagrożona, że ją tu jeszcze mogą znaleźć, lecz do dalszej ucieczki już sił jej zgoła nie starczyło. Nie mając wyjścia, postanowiła wypocząć dobrze i zastanović się nad sposobem dalszego ratunku z tej okropnej przygody. Aliści umysł przemęczony okazał się niezdolny do układania planów. Zlepił kilka jakichś mglistych obrazów i wreszcie przestał działać.

Hanka znowu zasnęła, ale już snem kamienym. Ogromne wyczerpanie odebrało jej pamięć, a spokój upalnego południa pochłonął ją w swe głąbie — —

Słońce wisało nad zachodem, kiedy ocknęła się i powstała na nogi. Duch dobry ją obudził... Kilkugodzinny sen niewiele jednak ją pokrzepił. Chwiejąc się, poczęła wolno dalej przedzierać się przez zboże. Ból głowy, spowodowany żarem słońca, oraz pragnienie, dokuczały jej strasznie. Brodziła napółprzytomna, słaba, jakby zrezygnowana.

W tejże chwili wrogowie jej na zamku wzmocnili się o jedno czworonożne stworzenie...

Nareszcie łan się skończył. Hanka wyszła na drogę, jaka wpoprzek przez pola prowadziła ku niedalekim chatom. Przystanąła i rozglądnęła się dokoła. Plama parkowych drzew pozostawała za nią dość daleko, w zachodniej stronie widniał las, obok zaś wioska znaczyła się domami i kopułą kościoła.

Hanka poczęła wolno kroczyć ku tej osadzie.

Napotka wreszcie ludzi i poprosi o pomoc, głód zaspokoi i ugasi pragnienie. Przecież ci ludzie jej nie zdradzą, powiedzą prawdę—gdzie się znajduje, wskażą kolejową stację...

Kopuła wioskowego kościoła zbliżała się powoli i wychylała z drzew.

Naraz oczom Hanki poczęło się wydawać, że tych kopuł jest kilka i że się chwieją... że zachodzą za siebie... że się podnoszą, to opadają...

Przetarła oczy i znów widziała tylko jedną, lecz jak zamgloną. Torebka z rąk wysunęła się jej na drogę, czego nawet nie czuła. Broń jednak ścisnęła palce konwulsyjnie.

Szła już ostatkiem siły i przytomności.

Niby pijana dowlokła się do wsi.

Jakiś człowiek czarno odziany ukazał się na drodze. Dwa psy, jamniki, towarzyszyły idącemu.

Hanka stanęła. Oczy, pełne gorączki, wpatrzyły się w tę postać, zbliżającą się ku niej. Może to wróg, może to jeden z tych?...

Lecz uzbrojona ręka nie miała siły, by się podnieść...

Zaledwie kilka kroków dzieliło jeszcze Hankę od tej postaci.

Poznała w nieznanym — księdza...

Kapłan zatrzymał się zdziwiony.

Ręka Hanki broń upuściła. Omdlewające dłonie wyciągnęły się naprzód.

— Księżo, ratuj mnie, ratuj!... Oni... tam... w zamku...

Nie dokończyła, świat jej w źrenicach zawirował. Upadła na gościniec —

## NA TROPIE

Była godzina piąta rano, gdy Jagmin stanął w Sulisławcach przed pałacową bramą. Bramę zastał jeszcze zamkniętą. Dzwonka nie było, przeto zniecierpliwiony Jagmin użył samochodowej trąbki do oznajmienia niezwyklej o tej porze wizyty.

Nareszcie po kilkakrotnem zatrąbieniu pojawił się na pałacowych schodach służący w zarzuconej na plecy liberji, którą jednakże, zoczywszy jakiegoś gościa, wspartego o auto, ubrał pośpiesznie, wybiegając naprzeciw.

— Ja do pana barona — oświadczył z miejsca Jagmin.

Służący skłonił się uniżenie.

— Przepraszam jaśnie pana, ale jaśnie pan baron śpi... Wstaje dopiero koło ósmej.

— Koło ósmej... dobrze... To najważniejsze, że go zastałem, że nie wyjechał..

— Jaśnie pan baron prawie że nigdy nie wyjeżdża lub bardzo rzadko

— E, co pan mówi!—rzucił Jagmin celowo. --  
Przecież niedawno spotkałem go w Warszawie...

— Przepraszam, ale chyba jaśnie panicza... pana barona Zygryda...

Jagminowi odrazu wyświetliło się w głowie.

— Tak, tak, pana barona Zygryda... ja o nim mówię... Do niego właśnie przyjechałem w nadzwyczaj ważnej sprawie...

— Niestety, jaśnie panicza niema, gdyż wyjechał...

Jagmin udał ogromnie zdziwionego.

— Jakto? kiedy?

— Jeszcze we czwartek...

— To dziwne! Nic mi nie pisał, że wyjeżdża... Byłem pewny, że go zastanę. Sprawa tak ważna, nawet nocą jechałem... A dokądże wyjechał?

Służący ruszył ramionami.

— Prawdopodobnie do Egiptu... Tam się wybierał...

— Niemożliwe! wszak jabym o tem wiedział! Pan baron, będąc u mnie, nic o tem nie wspominał...

— Proszę jaśnie pana, to ja już nie wiem, słyszałem tylko, że się wybiera do Egiptu. Ale być może, że nie wyjechał jeszcze, może powróci.

— Czy koleją wyjechał?

— Właśnie, że nie, tylko autem.

Jagmin zapalił papierosa.

— Ach, tak... więc pewnie tylko do Warszawy... Będzie mię szukał, gdy tymczasem ja szukam jego... A sprawa taka pilna! Każda godzina zwło-

ki może narazić go na znaczną stratę... A czy pan baron sam wyjechał?

— Nie, tylko ze swoim przyjacielem, który przyjechał tu we środe.

— Ciekawym, któżby to był... Może taki wysoki blondyn, nie? — spytał podstępnie.

— Ej, nie blondyn; brunet, jaśnie pan von Steinbock...

Jagmin udał, że coś poczyną sobie przypominać.

— Zaraz... zaraz... zdaje mi się, że ja go przecież znam...

— Proszę jaśnie pana, ma taki cienki, orii nos — pośpieszył fagas z oznajmieniem.

Aż dreszcz przeszył Jagmina z niecierpliwości.

— Ach, tak, już wiem, wiem... Dziękuję panu. Jeśli nie spotkam ich w Warszawie, to... będzie gorzej! Pewnie razem się bawią, ale gdzie? Pana Steinbocka znam niedawno... nawet nie wiem, gdzie mieszka!

Przybrał maskę wielkiego zakłopotania.

— Jaśnie pan Steinbock ma dobra koło Mławy — oznajmił sługus.

— Może stary pan baron będzie wiedział dokładniej? Trudno mi będzie tak odszukać, a czas mię nagli...

— Jaśnie pan baron będzie wiedział na pewno. Zresztą—przypomniał sobie nagle—lokaj wie również, bo raz tam był z jaśnie paniczem... Przepraszam, zbudzę go i zapytam, dobrze?

— Ależ proszę!—zawołał Jagmin ucieszony. — Wynagrodzę to panu, tylko się proszę spieszyć!...

Służący pognał truchtem.

Jagmina aż dławiło. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że był na dobrym tropie. Był niemal pewny, że nieszczęśliwą wywieziono z Warszawy gdzieś w bezpieczniejsze i swobodniejsze miejsce. Sępi nos zbira stał się dla niego drogowskazem lub w każdym razie przybliżał go do celu.

— Proszę nawrócić—zwrócił się do szofera — zaraz jedziemy dalej. W Brześciu zaopatrzymy się w benzynę i zdaje się, zmierzymy kraj ku Mławie... Djabli szmat drogi, lecz cóż robić! Żeby nam tylko motor nie chciał robić psikusów!

— Niema obawy, proszę pana! — uspokoił go szofer.

Jagmin dobył z kieszeni mapkę i przyglądał się drodze.

— Szosę będziemy mieli dobrą, zatem wszystko w porządku.

Szofer nawrócił. Cieszyła go ta tura, jak i boiny pasażer. Wiedział już, o co mniej więcej chodzi.

— Możeby jeszcze zbudzić barona i popytać dokładniej? — ośmielił się poradzić.

Jagmin potrząsnął głową.

— Cóż stary może więcej wiedzieć? Z pewnością nigdy nie zwierza mu się „jaśnie panicz“ ze swoich planów—odrzekł, ironicznie kładąc nacisk na tytuł.—Pan z orlim nosem da się chyba łatwo odszukać... A zresztą, zobaczmy!

Po chwili pojawił się służący.

— No, z czemże pan wraca?

— Proszę jaśnie pana, te dobra nazywają się

Sembork, niedaleko za Mławą... Bardzo możliwe, że tam obaj panowie pojechali.

— Młody pan baron często tam bywa?

— Owszem, często. Tam polują na kaczki, bo wód tam dużo. Otworzę bramę, to jasnie pan zajedzie i zapewne poczeka aż pan baron się zbudzi...

— Nie. To zbyt cenne, gdyż nie mam czasu.

Wręczył napiwek służącemu. Wcześniej załatwił sprawę niż przypuszczał.

— A więc autem pojechali? — zapytał jeszcze.

— Tak, takim niebieskiem, jasnie pana Steinbocka, bo naszego panicza pozostało w Warszawie do naprawy.

Po kilku jeszcze niewinnych zapytaniach Jagmin wsiadł do auta i kazał ruszyć w drogę. Prosto liczył czas na sekundy. Czuł instynktownie, że nie błądzi bynajmniej co do kierunku jazdy i że tam gdzieś za Mławą odnajdzie leśniczanke.

...A jeśli jej już nie ma? — zła myśl szepnęła mu złowrogo. — Lub jeśli... jeśli...

Wstrząsnął się całym, dławiąc okropne przypuszczenie.

Zwrócił źrenice na siwy bór, ciągnący się na prawo... Gdzieś tam woddali jest leśniczówka, gniazdo nieszczęśliwej Anusi... Dziś pustka w domu... Ojciec w Warszawie chory, a ona... ona...

Z ściśniętym sercem patrzył się w las, w kolebkę swoich żarliwych tęsknot i nieszczęścia.

...A więc ten las ukrywał cię tyle miesięcy!... Dlaczegoż wcześniej los mię tutaj nie przywiódł?

Bór ginał szybko, auto mknęło jak szalone.



Jagmin z zalem odwrócił znąkaną głowę, porządkując roztańcowane myśli.

Co chwila odzywała się trąbka. Lud z okolicznych wiosek i osiedli dążył gościńcem do suliślawskiej fary na prymarję, bo wszak była niedziela. Mówiły o tem stroje ludzi i mówił wyraz dnia, inny niżli zwyczajnie, uroczyście słoneczny i spokojny, Jest coś w naturze, co ją we święta inaczej przyodziewa i przenika bogobojną godnością. Inaczej wtedy świeci słońko i inne tchnienia idą światem. Odmiennej biją dzwony, serdeczniej ludzie rozmawiają ze sobą, ptactwo poważniej śpiewa. A w czasie sumy wszystko zdaje się milknąć, chylić ku ziemi w kornej modlitwie i tonąć w bezdniach bożego majestatu...

Jagmin, mieszkaniec wsi, cichy myśliciel, obserwator przyrody, którą nad wszystko kochał, gdyby nie wiedział nawet, że dziś niedziela, byłby ją odczuł z szeptów ziemi, z świątecznej szaty zbóż i owego spokoju, jaki zawisł nad światem.

Ale z owym spokojem duch jego dzisiaj nie łączył się bynajmniej. W nim wrzała burza, szarpał się ból, bałwaniła się rozpacz. Z jednej strony podniecało go wprost błyskawiczne, na powieściową fantazję zakrawające zdobywanie potrzebnych wiadomości, z drugiej zaś strony lęk go napawał, czy pomoc jego przyda się jeszcze na co, czy nie przyjdzie za późno... Ubiegły już dwie doby, jak ją porwano, jak się znajduje w mocy tych dwóch zbrodniarzy, którzy, niewiedzieć, jaki powzięli zamiar tego uprowadzenia, a względnie,

czy za ohydą zmysłów nie kryje się coś jeszcze potworniejsze.

Auto, mknące pełnym gazem, zdało się Jagminowi wlec wprost ślimaczo. Pragnął tak szybko pędzić, jak pędzi myśl, myśl niecierpliwa, gnana całym ogromem upragnienia. I gotów był na walkę, na największe ofiary, na wszystko, byle tylko to drogie dziewczę uratować i uchronić od hańby, byle jej żywej spojrzeć w oczy. Wiedział, że ci złoczyńcy musieli zważyć wszystko, nim się na taki krok porwali, i tak postąpić, by czyn ten, wielce ryzykowny, uszedł bezkarnie.

Przeciąg dwu dni i nocy był mu na sercu głazem. Dobywał z siebie wszelkich sił, by nie popaść w szaleństwo. Teraz dopiero odczuł, jak tę królownę swoich snów bezgranicznie ukochał, jak bardzo wrosła w jego duszę i serce!

Brzeskie mury poczęły się rysować. Jakżeż daleka jeszcze droga czekała motor spracowany, który, jakgdyby rozumiejąc ludzki pośpiech, pracował niezawodnie, wszystkimi siły. Niestety, nie mógł osiągnąć lotu myśli...

Jagmin zwiesił głowę na piersi, dusząc napaśne myśli, które, niby zgłodniałe czerwce, wgryzały mu się w mózg.

Zaopatrzwszy się w benzynę, pomknęli z Brześcia dalej, na Sokółów i Pułtusk.

Im bardziej Jagmin przybliżał się do granicy Prus Wschodnich, tem większy ogarniał go niepokój: odszuka biedną ofiarę, czy dobry dotąd ślad zatrze się, lub poprowadzi w świat szeroki?...

Począł sobie wyrzucać, iż jednak byłby zrobił

rozsądniej, gdyby w Warszawie poczekał był na szofera Zygryda Hibla. Ten z miejsca zaaresztowany i przyparty do muru byłby wyśpiewał wszystko i wskazał miejsce wyjazdu zbrodniczej szajki. Przy pomocy policji byłaby może już w ich rękach... Może ten krok mógł decydować o ratunku...

Żądza działania na własną rękę zaboląła go teraz, jak winowajcę.

Wprawdzie mógł to jeszcze naprawić, miał bliżej do Warszawy niżli do owego Semborku, aliści nie zawracał, jakaś nieznana siła parła go naprzód i szeptała nad uchem, że częściej zawodzi rozum niż przecucie...

Miarowy puls motoru grał niezawodnie. Mijali właśnie most na Narwi.

## VII

### PO UCIECZCE

Gruntowne poszukiwania Miłosielskiej w parku spełzły dotąd na niczem. Z żołącią w ustach i całym ciele powrócił Hibel do zamku.

Steinbock kończył w tej chwili prowizoryczny opatrunek postrzelonego szofera. Strzał w ramię zdawał się nie taki groźny, natomiast kula strzańskała kość kolanową w stawach. Nie było innej rady, trzeba było rannego bezzwłocznie odstawić do szpitala, tem bardziej, że przestrzelone miejsca poczęły puchnąć i podnosiła się gorączka.

— No, z czem wracasz?—zapytał Hans wchodzącego Zygryda.

— Bodaj to piorun! Ani śladu—uciekł! Przeszukałem dokładnie wszystkie zarośla!

— Może i lepiej, żeś jej nie znalazł...

— Tak sądzisz?—ryknął z wściekłością Zygryd.

— Pewnie—odrzekł z dziwnym spokojem Hans.

— Wszystko rozumiem, jednak we krwi się ba-

brać, co właśnie teraz widzisz... Poco nam tego jeszcze więcej? Nie udały się plany, to pal je wszyscy djabli!

— Coś prędko z tem się oswoiłeś? Ale że też ten cymbał tak się niezdarnie do niej zabrał Człowieku!—zwrócił się do jęczącego szofera — takiej gęsi ty dałeś się pokonać?

Szofer nie reagował albo przez własny jęk nie słyszał, co do niego mówiono.

— Głupi był plan, a ona zaś za chytra, by się tak łatwo dała złowić. Mimo wszystko podziwiam tę dziewczynę!—rzekł Hans takim tonem, jak gdyby ten wypadek był zupełnie niewinnym.

Zygfyrd zaśmiał się śmiechem czarta.

— Podziwiasz? — mało! Może kochasz?

— Na miłość już za późno... ale podziwiam! Kto tak nam zdołał uciec z klatki i jeszcze pamiętkę zostawił szoferowi, ten wart podziwu... Tak, jak my teraz warci stryczka!

Ta równowaga i sposób rozmowy Hansa doprowadzały Zygfyda do pasji.

— Czyś ty się wściekł? Jak ty to wszystko lekko traktujesz! Nam rzeczywiście coś podobnego grozi, a ty w podziwy włączasz!

Hans skończył opatrunek i jął obmywać ze krwi ręce.

— Poco się irytujesz? Romans zakończył się fatalnie i z tem się już zgodziłem. Teraz zaś kolej na policję i tym podobne przyjemności... Nazwiska nasze są jej znane, gdyż Stefi raczyła nas przedstawić... Ta twoja Juno zdołała ją może

nawet przekupić i wysłać po ratunek? Djabli to wiedzą!

— To wykluczone! Gdyby tak było, toby Stefi wymknęła się bez gwałtu. Przestraszyła się następstw, więc uciekała!

— Wszystko jedno! Tak czy owak, wynik obecnie prosty—sąd i kryminał!

Hibl aż się zatrząsał.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Boś ty nawarzył tego piwa, a ja zupełnie niepotrzebnie muszę je teraz z tobą pić! Ale jak pić? Albo w łeb sobie palnąć, lub wiać, jak mówisz, gdzie pieprz rośnie... Za droga czasem bywa miłość, lecz nie do tego stopnia! Wszystko jedno co uczynimy, kryminalnej sensacji i skandalu i tak nic nie odwróci. Tyle wściekłych historyj dla jednej pięknej buzi? Chyba, w co mi się jednak nie chce wierzyć, żeby ona dla własnej opinji zmilczała o tem wszystkim... Ojciec u ciebie służy...

— Nie zmilczy! Ja ją znam!

— Po tem, co zaszło, byłoby teraz trudniej o to. Ale była sposobność, że można było poprobować układów. Przecież radziłem!

Hibl przygryzł wargi.

— Ona wtedyby tylko była zmilęła, gdybym ją w parku był odnalazł.. Co ty w tej chwili myślisz robić? — zapytał nagle.

— Przedewszystkiem z tym jęczącym biedakiem jadę do Mławy, do szpitala. I to natychmiast! Tak przecież wiernego sługi nie możemy zostawić. A ty?

Zygfryd ważył coś w głowie, wreszcie odrzekł:

— Ja... biorę konia, przemieniam twarz i również jadę...

— Dokąd?

— Szukać jej, szukać, **bo** to jedyne wyjście! — rzucił nieludzkim głosem. — Musi tu być gdzieś niedaleko... Najprędzej biegnie ku stacji... Wsi może nie poszła alarmować, bo... bo pilniejsza ucieczka! W każdym razie musimy wiedzieć, co się z nią stało! Ty jedź i wracaj, każda minuta jest teraz dla nas droga!

Hans znów począł ostrzegać, lecz Hibl nie słuchał. Wiedział, czem pachnie ta ucieczka, więc jak furjat pobiegł ku stajniom.

Prawie z rannym odjechało auto, gdy przekształcony Hibl gnał konno ku odległej stacji. Jechał to drogą, to polami, węsząc, gdzie tylko spodziewał się odszukać zbiega.

Przegnał tak milę, choć leśniczanka do tego czasu nie mogła przebyć ani połowy drogi.

Mimo to jednak dotarł aż do samej stacji. Stacja była prawie pusta. Znowu zawrócił, znowu myszkował dalej. Spotkał kilku przechodniów, zaczepił ich, lecz nikt nie widział opisanej kobiety.

Przejechał również wieś, na drogę jeszcze wrócił, węszył około parku, lecz bezowocnie.

Słyszał, jak wróciła Lancia, jednak nie wracał jeszcze, wciąż szukał. Strach go przejmował coraz większy. Nadzieja ostatecznego zlikwidowania sprawy gasła coraz to bardziej. Teraz jedyne wyjście zostawało — ucieczka zagranicę! Ucieczka

bezwłoczna, nim sprawiedliwa ręka zdoła przeskodzić temu. Paszport w kieszeni miał, pieniądze również. Pogłoska o Egipcie nie była plotką. Pewny był zdobycia leśniczanki w sposób, jaki obmyślił, by jednak na wszelki wypadek ująć choćby cienia ewentualnych podejrzezań—postanowił ten wyjazd. Gdyby osiągnął był zamiary, dziś pewnie albo jutro zaspokojone żądze niosłyby go ku afrykańskim brzegom.

Plan się o tyle teraz zmienił, że go poniosą lęk i wściekłość Jego i przyjaciela... Przyjaciel jednak nie był przygotowany do tak nagłej podróży... Ten nie myślał wyjeżdżać, on był nieznan, któż mógłby jego wziąć w podejrzenie? On byłby tylko po tej szatańskiej uczcie swoją Lancią wywiózł nieprzytomną ofiarę na warszawskie przedpola, pozostawił na drodze i śladby o nim był zaginął... Taki był plan, tak się pomyślnie zaczął i naraz runął w gruzy! Ostatnia, niezdojta ofiara będzie teraz mścić wszystko! A była ich wcale pokaźna ilość — od szkolnych panien do niedostępnych aktorek i tancerek. I wszystkie ulegały, jedne pod wpływem wina, drugie pod siłą narkotyków. Aż wreszcie ta, najponętniejsza, czarrem wiosny owiana, leśna driada, ta pierwsza nie dała się zwyciężyć. Wyrwała się ze szpon, przepadał!

Jakby na ironję, stanęła teraz w ślepiach Hibla wizja Miłosielskiej w całym uroku nieskalanego piękna i świeżości, taka, jaką ją po raz pierwszy ujrzał na ganku leśniczówki...

Jednak, gdyby stanęła żywa, byłby się ku niej



rzucił nie jak olśniony adorator, lecz zbój ostatniego gatunku!

Do krwi kłusając usta, zawrócił konia w stronę zamku.

W bramie spotkał się z Hansem. Zygryd wycharczał jakieś przekleństwo i zeskoczył na ziemię.

— Odprowadź konia, gdyż z taką twarzą przebież się służbie nie pokażę!

Hans oddalił się w milczeniu.

Gdy wrócił, znowu zaczęła się narada. Trwała aż do wieczora podminowana lękiem. Rzecz prosta, stanęło na wyjeździe, jeszcze dziś w nocy, —Zygryda do Egiptu, Hansa narazie do bolszewickiej Rosji, gdzie, jak sądzono, dolar mógł wszystko zrobić, a na co tutaj już nie starczyło czasu. Spotkanie wyznaczili sobie w Kairo. Teraz należało poczynić różne zarządzenia, do czego Hans się zabrał z wielką niechęcią. Najprzód napisał list do ojca, potem zarządcę dóbr pchnął po pieniądze do swojego lichwiarza. Kasa podręczna również nie stała pusta, jednakże taki wyjazd nakazywał dobrze wypchany portfel. Dwom lekkoduchom narazie nie rozchodziło się o więcej. Cudowna instytucja, jaką jest w świecie poczta, nie pozwoli im zginąć i pożądane wieści przyniesie im nad Nil. Jeżeli leśniczanka przemilczy swą przygodę, to wróca, kiedy zechcą. A ostatecznie któż powiedział, że Hans w Semborku, a Zygryd w Sulisławcach muszą do śmierci mieszkać? Przecież to śmieszne! Wszak świat posiada cudne, wprost jedyne zakątki, pełne życia i uciech...

Pocieszali się wzajem i podniecali, chociaż obydwom niebardzo się uśmiechał ten przymusowy wyjazd.

Hans wprawdzie przygotowywał się do drogi, lecz ciągle jeszcze szukał innego wyjścia. Widać, coś go wiązało tutaj i pokusami stawało w oczach. I snąć niemiłe były te pokusy, bowiem zbójcka myśl Zygryda i jego przekonała, choć pewnie już za późno.

— Słuchaj Frydrie — rzekł po rozwadze — to jednak dziwne, gdzie ona się podziała... Przecież nie jest eterem, żeby się ulotniła! Na tyle poszukiwań byłbyś ją spotkał! Wobec tego należy wnioskować, że gdzieś tu niedaleko ukryła się, aby dopiero pod osłoną nocy bezpieczniej się oddalić... Jestem niemal pewny, że tak się stało, gdyż tak chytre stworzenie musiało przewidywać pogoń za sobą...

— Prawdopodobnie!

— Otóż jestem obecnie zdania, aby jeszcze poszukać. Mam dobry sposób, o którym przedtem nie chciałem ci wspominać, bowiem nie podzielałem twych zamiarów. Teraz atoli widzę, że to najlepsze wyjście. Poco uciekać na całe lata i narażać rodziny na tak wstrętne przykrości, gdy jednym ruchem palca możnaby ująć wszystkiego? Akurat może wpadnie nam w ręce... jeśli nie tu, to jeszcze i w Warszawie jest to możliwe... Tak czy owak, pociągu bezpośrednio do Warszawy nie miała jeszcze... wobec tego możnaby ją wyminać lub jeszcze w Mławie spotkać... Noc sprzyja takim łowom. Niezależnie od tego wciąż mi coś

mówi, że ona jednak znajduje się w pobliżu i w zmrok czeka...

— Mówże nareszcie, na jaki wpadłeś pomysł?!

— Mam tresowaną sukę, Ledę, z psów policyjnych. Ta nas z pewnością dobrze za śladem poprowadzi...

— Teraz dopiero o tem mówisz!—zawołał Zygryd w gniewie.

— Trudno, teraz dopiero przyznaję ci rację. Losy nasze istotnie więcej ważą, niż życie tej zafowanej pliszki!

Zniecierpliwienie w jednej chwili ogarnęło Zygryda.

— Leć po tę sukę! Myśl świetna, jeżeli przyszła nie za późno!

— W każdym razie dowiemy się przynajmniej o kierunku ucieczki. Leda niezawodnie prowadził!

— Zatem prędzej do dzieła! Słońce zachodzi, nie można tracić czasu!

Djabelski podszept z miejsca uzyskał aprobatę.

W niespełna kwadrans pies był już w zamku. Po obwąchaniu progu ze zasypaną piaskiem krwią, skierował się na górę do pokoju szofera, jednakże go wrócono. Teraz naprowadzono go na ślad drugi, do parku, gdzie kierunek ucieczki wskazywał szofer.

Psi niuch połapał się odrazu, o co rozchodzi się jego panu.

Jał prowadzić aleją, potem zaraz w zarośla. Jak odnajdywał ślady obcych stóp, tak wiódł dwóch dworskich elegantów. Szlachetna rasa psa nie przeczuwała swym instynktem, kto tu zbrod-

niarzem i komu służyć jej wypadło. Krew na posadzce mówiła bowiem co innego...

Przez krze, to trawnikami, dotarła trójka do żywopłotu. Szli teraz wzdłuż, aż do nieznaczej wyrwy w żywopłocie.

Pies przedarł się nazewnątrz, poczem przystając, oglądał się na panów.

— Pomyśl, jak świetnie nas prowadził—zawołał Hans.— Niema dwóch zdań, że tędy uciekał!

— Nawet pokrzywy stratowane—Hibl zauważył.— Napewno tędy!

Poklinając, poczeli się przeciskać przez łobuzowską „furtkę“, gdyż nie kto inny musiał ją sobie przyszykować, tem bardziej, że park obfitywał w leszczynę.

Ślad teraz prowadził prosto w las pszenicy. Pasma złamanych źdźbeł świadczyło najwyraźniej, że ktoś tędy przechodził, a tym kimś była bezsprzecznie leśniczanka.

Postępowali wolno naprzód, zachowując wszelką ostrożność przed wojowniczym zbiegiem.

Poza połową ładu natrafili na szerzej wydeptane miejsce. Pies je dokładnie obwąchiwał i podniecony pobiegł dalej.

— Tu, widać, spoczywała — zauważono. — Gorzej, że ślad ku wsi prowadzi..

— Zobaczymy! W takim razie trzeba się zatrzymać, aż się cośkolwiek ściemni.. Do wsi obecnie wejść nie można!

Po chwili wyszli na gościniec. Pies bez wahania skierował się ku wsi.

— To gorzej! — szepnął Zygfryd.

Hans się niebardzo tem przejmował. Zdaje się śmieiej rzucił na jedną kartę teraz, niżli sam Zygryd.

— Wszystko jedno! To najważniejsze, aby ją tylko spotkać!

Podsunęli się pod samą wieś, poczem znów w zbożu się ukryli, aby przeczekać, dopóki zmierzch nie padnie.

Pies się wydzierał naprzód i poszczekiwał, lecz go na smycz ujęto i uciszono.

Gdy już szarówka zrobiła się na dobre, wtedy tropiąca trójka znów się zjawiła na gościńcu.

W miejscu omdlenia Hanki pies jakby tracił ślad, począł kręcić się wokół, wreszcie znowu wiatr chwycił, jednak jak gdyby coś niepewnie.

Udając spacer, zbliżono się aż do kościoła.

Jakież ich jednak ogarnęło zdumienie, gdy Leda poczęła ich prowadzić ku domostwu pastora! Okazywała teraz przytem tyle niespokojnego zadowolenia, jakby już czuła blisko tropioną istotę.

Zatrzymali się tedy pod murem kościelnego parkanu, ściągając smyczą psa, gwałtem rwącego się ku tuż obok stojącej plebanji.

— Cóż ty na to? — zapytał szeptem Hans.

— Tu musi być lub była... Czy pies pastora zna?

— To też, że nie! Bywam tu bardzo rzadko, raz, dwa razy do roku, z Ledą zaś nigdy...

— W takim razie pies wie, co robi... Widocznie tutaj przyszła szukać pomocy... Więc co robimy?

Hans ruszył ramionami.

— Głupia historia... Nie wiedząc, jak sprawa się przedstawia, tem bardziej nie wejdę do mieszkania pastora! Zresztą, możesz przypuszczać, jaka nas łączy sympatja... To wprost zaciekły purytanin!

Radzili dłuższą chwilę, coby uczynić. Świetny trop psa, a obecnie jego żywy niepokój, przemawiał za tem, że leśniczanka tu się schroniła i może nadal tu przebywa.

Nareszcie Hans coś postanowił.

— Frydzie, ty zostań z psem, a ja zaś od ogrodu podsunę się ku oknom... Zauważyłem z drogi, że od południa było światło. Z tej strony ciemno...

Przelazł przez parkan i niby złodziej począł się skradać poprzez warzywne grzędy.

Na palcach posuwał się wzdłuż ściany. Na szczęście okna nie były zasłonięte, do tego w jednym była organtynowa siatka.

Z bijącym sercem Hans zbliżył twarz do siatki i lisiemi ślepiami zajrzał do wnętrza...

Dech mu zaparło.

Na łóżku, okryta kołdrą, leżała jakaś postać... Pastor siedział tuż obok łóżka i nieruchomo patrzył w ziemię. U wezłowia stała starsza kobieta, bokiem zwrócona ku leżącej postaci. Naraz nachyliła się nad nią, zdjęła jej kompres z głowy, poczem podeszła ku miednicy, by go świeżo zamazać.

Hans teraz lepiej dostrzegł twarz i — poznał..

Ona!

— Cóż to się stało, chora? — przebiegło mu przez myśl.

Prawie przestał oddychać, cały we wzrok zdając się zmieniać.

Przygodna pielęgniarka, jak poznał — siostra pastora, nałożyła leżącej świeży kompres.

Chora leżała jakgdyby nieprzytomna, gdyż zimny okład nawet jej nie poruszył.

Po chwili jednak dała znak życia. Wstrząsnęła się, jakby złękniona, i dłońmi poczęła się zasłaniać.

— Nie daj mię, księżu, nie daj!... — z ust krzyk jej wypadł tak głośny i pełen trwogi, że Hans przycajony za oknem uchwycił każde słowo.

Starsza jejmość troskliwie objęła ją ramieniem.

— Cicho, cicho, nie damy!

Płacz gorączkowy porwał Hanke.

— Możeby posłać po lekarza? — odezwał się dziwnie bezradny pastor.

— Poczekajmy do rana... może gorączka przejdzie... może przyjdzie do siebie... Przecież to chyba nie choroba?

— Bóg wie, co tam się działo w zamku... Zaraz rano wybiorę się do dworu i sprawa musi się wyświetlić!

Hans to usłyszał. Jak tępy grot, przeszył go lęk. Widać, zanim osłabła, zdołała jeszcze coś powiedzieć...

Stał dalej z uchem przy siatce. Jednak rozmowa urwała się, płacz chorej również topniał i uspokajał wstrząsy piersi.

Pastor dźwignął się z krzesła i jął przechać się powoli. Spuszczona jego głowa nad czemś usilnie pracowała.

Hans, mogąc być łatwo spostrzeżonym, pochylił się co prędzej i ostrożnie oddalił.

Zamysłony zaś pastor stawał co chwila obok łóżka i obracał pełne dobroci i niespokoju oczy na przecudowną twarz nieznaną, którą gorączka przyoblekła w nienaturalnie żywe pąsy, dodając jej wprost niezziemskiego piękna.

— Ktoś ty jest, biedna, piękna panienko? Jakie nieszczęście cię spotkało? Skąd się wzięłaś, nieszczęsna, w owym przeklętym zamku? Zali uszłaś jego sodomskiego powietrza?

Dziesiątki pytań rodziło mu się w głowie, lecz nie znajdował na nie prawdziwej odpowiedzi. Mógł tylko domyślać się ze smutkiem, bowiem znał wieści, jakie na ucho szeptano sobie o zamku i jego młodym właścicielu.

Właśnie ku jego szarym murom wracały teraz, trzymając się pod rękę, dwa ludzkie cienie.

Z ust im padały ciężkie, złe szepty, jakiś ptak nocny, zapewne puszczyk, przeleciał cicho tuż nad nimi.

Spokój czerwcowej nocy otulał świat i snem spoczynku go ogarniał.



## VIII

### ZŁA NOC

Na drugi dzień, w sobotę, pastor zaraz po zajęciach kościelnych wybrał się do pałacu.

Chorą cośkolwiek opuściła gorączka, była jednak tak słaba, że uznano za stosowne nie męczyć jej żadną dotyczącą tego tajemniczego wypadku indagacją. Groza jakiejś poważniejszej choroby zdała się minąć.

Po godzinie pastor wrócił ze dworu. Misja jego spełzła jednak na niczem i lokaj oświadczył mu, że pan Hans jest od tygodnia nieobecny i że prawdopodobnie bawi w Sopotach...

Po takim oświadczeniu, pastor, nie dowierzając, zszedł jeszcze do zamku, alieści zastał bramę zamkniętą.

Pokręcił głową w wielkiem zdumieniu i zawrócił do domu.

W nieobecność pana Hansa Steinbocka o tyle tylko wierzył, że mógł wyjechać wczoraj albo dzisiejszej nocy. Nie wątpił bowiem ani na chwi-

łę, że jakiś dramat musiał rozegrać się między notorycznym uwodzicielem a tem nieznanym dziewczęciem, zwabionem w mury zamku, skąd ledwie z życiem uszło. Wreszcie broń w ręku nieznanomej, do krwi porozdzierane dłonie i podarta sukienka świadczyły najwymowniej, że tych dwoje stoczyło z sobą walkę, walkę ponad kobiece siły, która aż z nóg zwała nieszczęśliwą i odebrała jej przytomność. Zdaniem pastora pan Hans nie dobrowolnie dom opuścił, ale poprostu uciekł!

Co do ucieczki jednak, pastor się mylił. Pan Hans oraz jego przyjaciel byli nadal obecni w zamku i widzieli pastora, jak powracał z pałacu i kołatał do bramy. Pan Hans podsłuchał przecież wczoraj cel tej rzadkiej wizyty, zatem i odpowiednio się urządził. Wiedział już również, jakim sposobem leśniczanka znalazła się pod opieką pastora, dalej, że leży nieprzytomna, że przy omdlałej z osłabienia nie znaleziono żadnego dokumentu, któryby zdradził miejsce jej pochodzenia i nazwisko — zatem i wyjazd jego okazał się nie tak bardzo gwałtownym. Miano na usługach człowieka, który sprytnie dowiedział się o wszystkim i stale węszył przebieg sprawy. Mimo to jednak zachowano wszelką ostrożność: przy bocznej bramce w kącie parku stało auto, każdej chwili gotowe do odjazdu, a zaś przy głównej bramie inay najemnik trzymał straż... Dopóki chora leśniczanka znajdowała się w Semborku, kapitulować nie myślano. O niespodzianem wkroczeniu władzy nie było narazie mowy, tem bardziej, że ta nie mogła o niczem dotąd wiedzieć, zaś pastor z różnych

względów nie śpieszył się z donosem, czekając aż chora oprzytomnieje i opowie o zajściu. Uwodziciele nawet o tem wiedzieli, więc tem spokojniej obmyślali dalsze plany działania.

Było teraz największem ich pragnieniem, ażeby leśniczanka do późnego wieczora nie przyszła do pamięci. Mieli w tem cel, również szatański i bezwzględny, jak wszystkie inne dotąd. Zamiarów byliby jeszcze ubiegłej nocy w czyn wprowadzili, ale stanął im na przeszkodzie brak pewnych wieści. Mając je teraz, czekali w niepokoju następnej nocy...

Podejrzenie pastora co do zamku, które tak bardzo w pierwszej chwili przeraziło Hansa, teraz ich wcale nie trwożyło. Djabeł mu teraz podsunął taki plan, który czynił sługę bożego nie tylko nieszkodliwym, ale jeszcze wystrychał go na dudka... Człek ten, z natury delikatniejszy od Zygryda, teraz w pomysłach i zacięciu przeszedł zupełnie przyjaciela. Ogromna niechęć przymusowej ucieczki uczyniła go zdolnym do popelnienia wszelkiej zbrodni, byle tylko ratować swoją wolność i dom uchronić od skandalu. Zdusił w sobie wszystkie ludzkie skrupuły, zdziczał i ogłuchł na podszepety sumienia.

W oczekiwaniu nocy i ostatecznego zlikwidowania owej fatalnej awantury, dzień im upływał wprost ślimaczo.

Nad wieczorem znów otrzymali raport zaufanego szpiega, że wprawdzie chora przyszła nieco do siebie, jednakże śpi bez przerwy... Wieść stosownie do powziętych zamiarów była całkiem po-

myślna. Liczono przytem, iż jak zwykle przed nocą, znów wzmóże się gorączka i przeszkodzi rozmowie tak wielce niepożądaney w owym krytycznym dniu.

Hankę istotnie po ciężkiej nocy ogarnął sen głęboki i spokojny. Spała od rana do tej pory, co aż niepokój wzbudziło w domownikach. Dziewczęce nerwy, które tak straszną przeszły próbę, potrzebowwały widać całkowitego odrodzenia, a to im sen przynosił.

Zmierzchało się cośkolwiek, kiedy ku radości pastora i jego siostry chora ocknęła się na chwilkę i słabym głosem poprosiła o wodę. Nie piła jednak, tylko usta zmaczała i, nie podnosząc prawie powiek, znowu w sen zapadała, szepcząc niezrozumiale jakieś słowa. W każdym razie spokojny oddech i takiż wyraz twarzy zwiastowały widoczne polepszenie.

Dusza jej, na leśnej rosie wybielona, może pomknęła teraz do Warszawy, może zawisła, niby anioł skrzydlaty, nad nieprzytomną od rozpaczny twarzą ojca...

Może płaczącej Ryśce szeptała słowa pociech...

Może tuliła się do brata, z którym rozmawiał o jasnych oczach pan...

Może słyszała tę rozmowę, drżąc od bólu, łamiąc się pod ciężarem nieszczęścia...

Może widziała ich spojrzenia, lgnące ku sobie w wspólnej trosce, przenikające się wzajemnie, tak jakoś sobie bliskie...

A może była w swym ogródku, może godziła zazierkę z dzianwą... pomagała wilcowi brać w

uściski ostróżkę i słowa obietnicy szeptała nad niecierpkim...

Może Doksa karciała, że obrał sobie legowisko na kobiercu rezedy...

Przecież to wszystko było jej światem, umiłowaniem, szczęściem, tęsknotą!

Tymczasem coraz bardziej się zmierzchało, cichły wieczorne głosy, świat kładł się na spoczynek.

I przyszła noc, cicha, parna, jakby zmęczona.

Pastor odszedł od łoża chorej, została jednak jego siostra. Niedługo i ona zdrzemnęła się w fotelu.

Zaległa cisza, tylko budzik tykał miarowo na nocnej szafce.

Naraz w ogrodzie gąszcz malw, pomieszany z bylicą, poruszył się nieznacznie i rozchylił. Cośkolwiek widna noc pozwoliła dostrzec dwa ludzkie cienie, wychynięte z zarośli i skradające się ostrożnie ku oknom plebanji.

Dwie pary dzikich oczu cichaczem spoglądnęły do wnętrza.

— Dobrze się składa! Stara też drzemie—wyszeptał Hans w samo ucho Zygryda.

— Może zaczekać jeszcze... niech twardziej zasnie!

Przykucnięto na chwilę.

— Do diabła, teraz już chyba musi się udać!

— Pewnie! Tylko ile możliwości jak najciszej obchodzić się z rozpylaczem... Ta stara wiedźma może być czujna!

— Niech sobie będzie... Flakonowy Morfeusz

tak ją upoi uściskami, że nawet rano nie będzie mogła pastorowi podać śniadania...

Zniecierpliwiony Hans podniósł się wolno. Jeszcze przez kilka minut obserwował wewnątrz pokoju, potem zaś ostrzem scyzoryka naciął organytynową siatkę. Wolno, bez najmniejszego szmeru, wsadził w wycięty otwór węzową szyjkę rozpylacza i z taką samą ostrożnością ją naciskać balonik. Ucho chwyciło ledwie odczuty syk...

W pokoju nikt się nie poruszył.

Może pięć minut rozpylał Hans cichutko niezawodny narkotyk. Aczkolwiek z powodu siatki w oknie działał nieznacznie, to przecież wkońcu zrobił swoje: siostra pastora przechyliła wtył głowę i otworzyła usta...

— Spójrz, jak sobie smacznie chrapie...

— A tamta ani drgnie! Herr Jesu! Jaka ona cudowna!... Czekał trochę, niech się jeszcze napatrzę!...

— Zaraz będziemy mieli ją w objęciach... Dziś już nie będę ci wyrzucał, że pieścisz manekina...

— Mój drogi, czekaj! czekaj!...

Nie oddychając prawie, Ignął ślepiami do utulonej snem dziewczęcej twarzy i cudnych ramion, wychylających się z pod kołdry.

— Strzelić w tę śliczną główkę i to rozkoszne ciało rzucić w zgniłą toń stawu?—przebiegło mu przez myśl.—Och, ty... ty!... czemuś taka naiwna?

Na myśl, co stać się musi, przeszył go dreszcz i lęk oszalałej żądz.

— Odłóż na kiedy indziej sentymenty! — wyszeptał Hans.—Nie można tracić czasu!

Począł zdejmować z okna siatkę. Szło mu to łatwo, bowiem rozciął ją wzdłuż, poodkładał haczyki i wyjął ramy, nazewnątrz o mur je opierając.

Teraz już bez obawy rozpylił resztę narkotyku i zamknął okno.

Po krótkiej chwili siostrze pastora opadły ręce, jakgdyby władzę im odjęto.

Piersi Hanki zdały się dławic, lecz wkrótce przywalił je jakiś potworny ciężar i uspokoił.

Hans, do najwyższego stopnia podniecony, otworzył teraz okno.

— Tak jeszcze wizyt nie składałem, ale cóż robić! — szepnął z uśmiechem i począł spinać się na okno. — Ty, Frydziej, pilnuj, a ja wlot się załatwię, bo atmosfera tu szpitalna i łatwo mógłbym przespać się razem z tą jejmością...

Już był we środku. Najprzód nasłuchiwał przez moment, potem dobył z kieszeni jakieś pismo i złożył je na stole w takim miejscu, aby odrazu mogło wpaść w oko.

Treść kartki była krótka:

„Dziękuję księdzu za gościnę, oraz te głupie rzeczy, które zabrałam z sobą na pamiątkę. Trud udawania chorej przez tyle długich godzin zupełnie mi się nie opłacił. Pomyliłam się jednak w oszacowaniu księdza. Jestem bardzo wyrozumiała i lubię często rozjaśnić komuś monotonję życia. Proszę przeto zachować mię w wdzięczności, gdyż może jeszcze się spotkamy. Szkoda, że

ksiądz nie jest młody, gdyż wtedy ma wizyta zostawiłaby obojgu lepsze korzyści i wspomnienia.

Nina z Gdańska i całego świata“.

Złożywszy ową kartkę, Hans zebrał szybko suknię, płaszczyk oraz kapelusz Hanki i, zwinąwszy to w kłęb k, oddał przez okno Zygrydowi.

Teraz zaś począł kraść, choć tylko symulował złodzieja...

Brał co mu w rękę wpadło i przedstawiało jakąś wartość. Powysuwał szuflady i przewracał ich zawartość, nawet wyrzucał na podłogę.

Już miał pełne kieszenie zdenerwowany pan von Steinbock.

A teraz przyszła kolej na najcenniejszą zdobycz, na leśniczanek...

Objął ją w pól i wyciągnął z pościeli. Szło mu to dosyć ciężko. Wreszcie zdołał ją jakoś dowlec do okna i podać Zygrydowi, Ten, silniejszy od Hansa, w paru sekundach uporał się z ciężarem.

Gorąca, bezwładna postać nieszczęśliwej zwiłała mu w rękach.

Jak głodny gad przywarł ustami do jej ramion.

— Ha! jakżeś słodka i gorąca!...

Hans, zlącząc z okna, dostrzegł te pocałunki.

— Masz czas na wszystko... wytrzymaj! Daję ci ją na własność—dodał triumfująco.

— Bajecznie się urządził!

— O tem potem, teraz taskaj ją w ogród, a ja wezmę manatki! Chyba fruniemy, bo zdaje mi się, że mam skrzydła! Dobranoc pani! — rzucił śmiechem do okna,



Nie pofrunęli jednak, tylko chyłkiem skierowali się w ogród. Steinbock, świadomszy drogi, wychylił się na czoło. Ledwie mógł wstrzymać w piersiach napór radości.

— I ot, poszło jak z nut!

Zygfryd nie odpowiadał, jego usta piły żar ciała Hanki. Miał ją wreszcie na piersiach, obu rękami oplecioną, bezwolną, niezdolną do oporu, znienawidzoną, a tak szatańsko pożadaną.

Prawie że kąsał jej atlasowe piersi, tak mu ich świeżość uderzała na zwyrodniałe zmysły.

Już posmak bliskiej uczy drażnił go mrowiem, już się pieścił nią w parku...

— Tyżes to, me przekleństwo... mój szale... głodzie?—szeptał splecionymi ustami na jej gołym ramieniu.—Ty... Tyl...

Hans dosięgnął zarośli. Jakby usłyszał jakiś szmer. Przystanął, nasłuchując...

Lecz w tejże chwili czyjaś ręka podniosła się z zarośli, w powietrzu świsnął kołek i jak piorun padł na barki Steinbocka!

Ugodzony jęknął okropnie, upadł pod ciosem, lecz zaraz się poderwał. Drugi potężny raz dosięgnął jeszcze jego ramienia.

— Psiekrwie, złodzieje! Gwałtu! Łapaj! łapaj!!  
—wrzasnął równocześnie tubalny głos.

Hans drapnął, choć ledwie mógł trzymać się na nogach. Znienacki napad również Zygfryda tak przeraził, że puścił leśniczkę i skoczył do ucieczki. Może ubiegł piętnaście kroków, gdy oprzytomniał i nagle się zatrzymał,

Padły dwa strzały: jeden—w cień napastnika, drugi—w białą plamę na trawie..

Szczęściem oba strzały chybiły..

A głos tubalny wrzeszczał na całe gardło:

— Trzymaj.. złodzieje!! Trzymaj!!

Cisza nocna chwyciła okrzyk przeraźliwie. Człowiek z zarośli znów zadał w róg, raz, drugi, trzeci.

Domniemani złodzieje, nie wiedząc, na jaką siłę się natknęli, gnali przed siebie, paląc wtył z browningów, aby powstrzymać pościg.

Ale nikt ich nie gonił, tylko krzyk się podnosił i przejmujący odgłos rogu.

Strzały ustaly. Dwa cienie wpadły w mrok.

Całe to niespodziane zajście trwało najwyżej dwie minuty.

Kościelny stróż, on to był bowiem, zaczerpnął tchu, by dalej alarmować.

Skąd się tu nagle wziął, czy czyhał na nich? Bynajmniej! Akurat dążył z chaty na swoje stanowisko, a szedł naprzelaj, celem skrócenia sobie drogi, gdy właśnie zoczył, że ktoś przez okno plebanji dobywa się na pole. Światło lampy palącej się w pokoju dało mu dobrze widzieć całą złodziejską scenę. Co wyniesiono, nie mógł zdaleka poznać, przypuszczał jednak, że rabowano pościel. Na wołanie pomocy widziało mu się już za późno, złodzieje już zmykali i to prosto na niego. Więc się zaczął, wziął na odwagę i grzmotnął pierwszego z kraja suchowatym dębczakiem.

Odsapnąszy cośkolwiek, znowu zatrąbił. O po-

goni wśród nocy nie było mowy, tem bardziej, że złodzieje porzucili co większe łupy.

Zebrał prawie z pod nóg jakoweś szaty, które porzucił poczęstowany palką, poczem się zbliżył do białego tobołka...

Domniemany tobołek jakby się ruszył... stróż spojrzął baczniej i odskoczył...

— Rany boskie, to człowiek!

Ile sił w nogach skoczył ku plebanji.

Od stajen już ktoś biegł. Na drodze od kościoła odezwały się głosy.

Poczęto się zwoływać.

Pastor, który jeszcze nie zasnął, wypadł na ganek... Słyszając głos rogu, był pewny, że się pali. Lecz łuny ani śladu...

Wbiegł do pokoju siostry i stanął nagle przerażony. Pokój zaściewały papiery, koldra z pustego łóżka leżała na podłodze...

— Franiu! Franiu!

Lecz siostra ani drgnęła. Teraz dopiero odczuł jakiś apteczny zapach.

Z głębi ogrodu doleciały go krzyki. Siatki w oknie nie było...

— Jezu, co to się dzieje? Franiu!!

Kościelny stróż zjawił się poza oknem.

— Jegomość!—zawołał przełęknięty i począł urywanie rzucać epizody zdarzenia...

— — — — —

O tej mniej więcej porze, ze sali pewnej warszawskiej restauracji jakaś para przeszła do zacisznego gabinetu. Po dobrej kolacji zapragnęli

swobody. Znowu likier pojawił się na stole. Abażurowa lampka rzuciła słabe światło, dziwnie na nerwy działające.

Skosztowano świeżego trunku, choć już humory mieli „pod dobrą datą”.

Gdy tylko zniknął kelner i drzwi zamknięto, młody, przystojny pan, starannie wygolony, usiadł swobodnie przy swojej towarzyszce.

— Daj rączki moim ustom, daj... Powiedz, naprawdę kochasz?

Uścisk i pocałunki stały się odpowiedzią.

— Jakżeż szczęśliwy jestem... pijmy!!

Jęto przeplatać likierem i pieśczętą. Znali się może od trzech godzin, a już ich miłość pobratała... Ujrzeni się w kawiarni, potem on za nią wyszedł, jak cień towarzyszył jej wszędzie, aż wreszcie poznał. Coś go w niej uderzyło i nakazało chęć poznania, choć jakżeż czemś innem był zajęty!

Lekarzem był i kawalerem... a ona? ona kobieta... młodą jeszcze, wyzywającą... I to prawdopodobnie przyprowadziło ich do tego gabinetu.

— A więc naprawdę będziesz wierną kochanką?

— Pewnie, że będę...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

— Ach, jakżeś rozkoszna! Jesteś tak piękna jak ta panienka, którą we czwartek porwano na ulicy...

— Jakto porwano?

— Ot, w jasny dzień porwał ją jakiś odpalony wielbiciel i pewnie uwiózł z miasta. Ty o tem nie czytałaś? Cała Warszawa mówi jedynie o tem!

— Nie czytałam...

Dobył z teczki gazetę i wskazał jej rycinę przyświecając kieszonkową latarką.

— Oto ona... Warto by ją odszukać, gdyż nagrodę wyznaczono nielada...

Przygodna towarzyszka, lubo już dobrze podchmielona, coś musiała rozeznąć, bo wykrzyknęła nagle:

— Ja... ja ją znam! To przecież chyba ona... tak... ona! We czwartek ją porwano? — zapytała niezwykle poruszona.

— Tak, tuż po południu. Prawda, że bardzo piękna?

— Owszem, ale... A to ci historja!... No, wie pan...

— Żaden „pan“, tylko Jurek—poprawił.

Zrobiła taką minę, jakgdyby jeszcze nie wierzyła w jakąś możliwość.

— Wiesz, Jurku... ehl! nic! nic! Lepiej napijmy się!

Siadła mu na kolanach i podała kieliszek. Pili teraz z jednego.

— Powiedz, skończ przecież!—prosił.

Jakoś dziwnie się śmiała.

Począł nalegać i tulić ją ku sobie.

— Ty mnie nie powiesz, twemu Jurkowi?

— Nie, nie. Bo niech to wezmą wszyscy djabli! Alkohol jednak począł powoli budzić szczerość. Gorące pocałunki zdobyły jeszcze łatwiej twierdzą z papieru kobiecej sekretności...

I tak, cośnecoś z kłamstwa, a wreszcie z prawdy powstała wielce ciekawa historja...

— Ech, co nam o to!—zawołał wkońcu pan Jurek pozornie obojętnie.—Dzisiaj pragnę myśleć tylko o szczęściu... o szczęściu mojem! Przyrzekłaś, że pojedziesz, zatem jedziemy do mnie...

Droczyła się, lecz wreszcie kokieteryjnie przytaknęła.

Za krótką chwilę odjechali, niestety, nie do mieszkania rzekomego lekarza, tylko... detektyw Szroniec powiózł do komisariatu pełną dobrych nadziei Stefi.

## IX

### PO BURZY

Dopiero wczesnym rankiem spostrzegł pastor jakąś kartkę na stole. Przeczytał ją kilkakrotnie, podumał i schował do kieszeni.

— Podstęp! — pomyślał. — Lecz dzięki Bogu nie udał się!

Było jasnym, że o zwykłej kradzieży nie było mowy, chociaż ją fingowano. Celem złodziejskiego włamania było jedynie owo nieszczęsne dziewczę. Usiłowano porwać je, by zatrzeć ślady przypuszczalnego gwałtu. Gdyby nieczne zamiary były udały się pomyślnie, to owa kartka istotnie rzuciłaby wręcz inne światło na tę pełną tajemnic historję.

Czyby włamywaczem był teraz Steinbock? Załóż ten młody magnat poważylby się na to?

Pastor znał pana Hansa jedynie ze złej strony, jednak to podejrzenie nie mogło mu się zmieścić w głowie. To przecież jest już poprostu straszną rzeczą, bandycką! A może działa tutaj

w porozumieniu z panem Hansem jakaś łotrowska szajka?

Wiele przypuszczał i gubił się w domysłach. Jakkolwiek rzecz się przedstawiała, potem, co zaszło w nocy, postanowił zaraz po prymarji dać znać do policji.

Nie ulegało wątpliwości, że zbrodniarze użyli jakichś nasennych środków. Szczęściem, obie ofiary przyszły do siebie: siostrze pozostał tylko ciężki ból głowy, stan chorej również się nie pogorszył. A jakżeż łatwo, porzucona w bieliźnie tylko na rośną trawę, mogła nabawić się wprost śmiertelnego przeziębnięcia! Jak się widziało dotąd, młody organizm, aczkolwiek bardzo osłabiony, przetrzymał i tę okropną próbę.

Po uporządkowaniu szuflad i skonstatowaniu braku kilku przedmiotów, pastor rzucił jeszcze oczyma na zbiedzoną twarz chorej, snem utuloną, poczem opuścił pokój skołatany jak nigdy.

Właśnie ktoś do drzwi dzwonił.

Weszła wiejska kobieta i pochwaliła Boga.

— Jegomość, przyniosłam czyjąś zgubę... Trzeba to pewnie ogłosić z kazalnicy... Ot, tę torebkę znalazłam na gościńcu—rzekła, dobywając z pod chustki elegancką damską torebkę. — Popytywałam gdzie, miarkowałam, ale napróżno...

— Gdzieżeście to znaleźli?

— Mówię, na gościńcu pomiędzy wsią a dworem, w piątek pod wieczór. Wszystko w niej jest jak było: pieniądze, jakieś papierki, pachnidelka...

— I dziś dopiero przynosicie?

— Jegomość, w polu moc pracy, a przytem



myślę sobie, że najlepiej w niedzielę. Ludzie się zejdą do kościoła, to i łatwiej o zgubiciela...

Pastor, podziękowawszy uczciwej kobiecie, pożegnał ją, poczem ją pilnie badał torebkę.

Ku wielkiemu zdumieniu i niemniejszej radości znalazł w niej dowód osobisty z podobizną uroczej właścicielki. Pierwszy rzut oka rozwiązał mu zagadkę...

— Boże jedyny! To przecież ona... nasza chora! Anna Miłosielska... Sulisławce... powiat... — nazwa powiatu zatańczyła mu w oczach, zerwał się uradowany i pobiegnął do siostry.

— Franiu! Już wiem, kto ona... patrzaj!...

Jednym tchem prawie wyjawiał siostrze, jak się to stało.

— Tak, to bezwątpienia ona... Biedactwo!

— Brożkowa w piątek znalazła tę torebkę, wieczorem, pomiędzy wsią a zamkiem... Uciekając, zgubiła ją... przecież już prawie omdlewała...

— Trzebaby dać telegram, tylko że dziś niedziela...

— Prawda! Jakoś to zresztą już zrobimy! Rzec najważniejsza, że posiadamy adres...

Dobra nowina byłaby dłuższą wywiązała rozmowę, jednakże pora nagliła księdza do kościoła.

Po nocy zły zaczął się pomyślniejszy niedzielny dzień.

Kiedy pastor powrócił, zastał siostrę rozmawiającą z Miłosielską... Przytomność wróciła jej zupełnie. Pastor ledwie uwierzył, że piła już herbatę o własnych siłach...

— Książę dobrodzieju, Bóg zapłać! — wyrzekła

Hanka, witając go wdzięcznym spojrzeniem i pociągając koldrę aż ku ustom.

Oczy pastora zajaśniały radością.

— Dobrze, dziecino... Całe szczęście, żeś nam ożyła...

Hanka już od siostry pastora wiedziała o całym zajściu w nocy. Zło już minęło, jednakże drżała z lęku i uspokoić się nie mogła. Miała stale łzy w oczach.

Teraz powoli zaczęła się opowieść—jej... przerywana łzami, okropna... Opowiedziała wszystko, jak wyjechała z domu, jak wsiadła do auta, jak straciła przytomność... Potem o Stefi... o strasznej nocy... walce... Nie mogła z myślą się pogodzić, że może uśmierciła człowieka... I tak kolejno przewracała karty straszego pamiętnika, że pastor z siostrą aż truchleli.

— Zbóje, łotry!—wykrzykiwał co chwila przejęty pastor. — Bóg ciężko ich pokarzel!

Uszom nie wierzył, żeby istniała taka ohydna podłość.

— Nie płacz, nie rozpaczaj, dziecino... Już Bóg cię nie opuści, jeżeli wyrwał z tego piekła i uchronił od hańby...

Nielatwo jednak powracał Hance spokój. W myślach stanęła jej Warszawa, ojciec, brat, Ryśka... Co tam się wczoraj dziać musiało, i dziś, Jezul...

Oprzytomniały umysł przesuwiał film obrazów tak wyrazistych, że się wzdrygała i chciała powstać, aby tam wracać jak najprędzej. Niestety, jej nie starczyło na tyle,

Zkolei jej łzawe oczy padły na pomiętą i zniszczoną sukienkę.

— Jakże ja strzępy te ubiorę?—zawołała z rozpaczą.

— I na to, panno Haniu, znajdzie się jakaś rada—rzekła siostra pastora.—Tylko aż wróca siły...

Hanka coś sobie nagle przypomniała...

— Ach, prawda... przecież ja mam walizkę z sukienkami... Została tam... w zamku...

Z lękiem i obrzydzeniem wymówiła ostatnie słowo.

— Chyba nie zginie, pošemy po nią.

— Czekajcie jeszcze—przerwał pastor.—Trzeba to wszystko jakoś mądrze obmyślić... Telegram jest konieczny, bo tam w Warszawie urwanie głowy, rozpacz! Tylko jakże to zrobić, kiedy niedziela i urząd jest zamknięty? Nie widzę wyjścia, tylko chyba aż jutro... Trzeba dać również wiadomość policji... Taka potworna zbrodnia nie może ująć bezkarnie! Porwanie, gwałt, wtargnięcie oknem, poto, żeby znowu wykraść ofiarę i może zabić, to... to przecież niesłychane!

— Pomyśl, syn kolatora a drugi baron!—odezwała się siostra.

Naraz rozległ się głos sygnaturki. Znów obowiązek wzywał pastora do kościoła. Pocieszył jeszcze Hankę i, na później odkładając naradę, opuścił pokój.

Niedługo rozstrojona gospodyni wyszła również na chwilę, by zarządzić obiadem. Hanka została sama. Widma przeżytych chwil nie schodziły

jej z oczu. Wprawdzie czuła się już bezpieczną, a jednak serce dygotało jej trwożnie.

Usiadła na pościeli. Dostrzegła w przerażeniu krwawe plamy na piersiach i ramieniu. Nawąła wstrętnych szeptów napadła na nią nagle, niby rój os.

...Czyżby skąsały ją dzikie usta nocnego nastnika?

Z odrazą, z lękiem patrzyła na te podłużne plamki. Cóżby dała, ażeby zetrzeć owe piętna!

Jeszcze myśl okropniejsza wybuchła jej pod czaszką.

Wprost rozpaczliwie poczęła ją odganiać. Porwał ją nowy szloch. Tak jej się zdawało, że jakiś gad ohydny oplótł jej ciało, że wżarł się w nie, że je oślinił. Roztańcowana wyobraźnia rzuciła jej ku oczom pełne wstrętu obrazy.

...Obrzydliwe macki zbira biorą ją z łoża... Ciało kryje tylko koszula... Oślizgłe wargi topią się w pocałunku niby pijawka...

Dziki oplot niesie ją w ogród...

— Niel!... Niel!...—szarpnęła się boleśnie, kryjąc rękami oczy.

Szloch ją zadławił.

Myśl litościwa jęła ją znowu uspokajać.

Głosy organów dobiegły ją z kościoła. Rozpoczęła się suma.

Znękana dziewczęca postać uklękła na pościeli, zwracając oczy, przysłonięte dłońmi, w stronę tych głosów...

»Pijana bólem główka upadła na poduszkę. Jakby pragnęła skryć się przed koszmarami,

Dławiący szept modlitwy zakwilił, jak opuszczone piskłę.

A organ grał, niósł pieśń, porywał serca, zbożnie radował...

Hanka zapadła w modlitwę i to granie. Każdy ton zdał się być jakąś kojącą dłonią i serdecznym uściskiem, ustami dobrej matki, które szep-tały:

— Uciszyć się, ucisz... Zło tylko otarło się o ciebie, lecz nie splamiło... A nim zapadnie słońce, niby rozbitek dopłyniesz do przystani... Dobrze, z długiej tęsknoty omdlewające ręce czekają cię na brzegu... Już się do ciebie wyciągają...

— — — — —  
— — — — —

Wieść o niezwyklej nocnej kradzieży na plebanji lotem błyskawicy rozeszła się po wsi. Komentowano różnie na temat nieznajomej panienki, skąd jednak przybyła do Semborka, co było powodem jej omdlenia, krążyły najdziwniejsze domysły. Fakt wykradania jej nocą z pod opieki pastora jeszcze bardziej otoczył sprawę tajemnicą. Cichaczem mówiono i o zamku, młodym dziedzicu, o gościach, jacy nocami zjeżdżali samochodem, hulankach... Zresztą omszałe mury zamku miały swoją pełną dziwów legendę.

Teraz to wszystko ożyło nagle, nabrało barw, wyogromniało.

Fiasko ostatniego wysiłku, aby bezwzględnie unieszkodliwić leśniczanke, panicznym strachem nappełniło zbrodniarzy. Szał chwycił ich na myśl, że przecież łatwo, mając broń w rękach, mogli

się pozbyć stróża i plan do końca przeprowadzić pomyślnie. Co im przeszkadzał jego krzyk, kiedy wieś spała? Jeden odważny, celny strzał byłby usunął niespodzianą przeszkodę... Podejście byłoby padło na złodziejkę... Wreszcie gdyby ich było nawet kilku, cóż znaczyły ich kije wobec browningów? Był czas, że zawrócili jeszcze z drogi, lecz było już za późno, już ludzie na głos rogu poczęli się zlatywać. Pomyślny moment przeszedł i ten zdecydował o przegranej, chociaż zwycięstwo było pewne. Ten jeden moment utraty równowagi stał się teraz wyrokiem już ostatecznym. Nie było już nadziei podejścia tej fatalnej istoty, już wieś się poruszyła jak kopnięte mrowisko. Najemny szpieg wnet z rana raportował im o tem. Nie przypuszczał jednakże, aby owi panowie dokonali napadu na probostwo, tem bardziej, że miała również miejsce najwyczałniejsza kradzież. Wreszcie „bandyci“, jak się wyraził, użyli broni, jednak nikogo nie ranili. Zygryd i Hans, słuchając tego, udawali niesłychanie zdumionych. A że i ową pannę usiłowano wykraść, cóż było w tem dziwnego? — była młoda i piękna. O jakimkolwiek podejrzeniu szpieg nic nie słyszał.

Wiadomość ta wcale nie potęszyła sprawców. Podejrzenie pastora co do zamku samo przez się było groźnem momento. Zajście w nocy przyłożyło doreszty lont do benzyny. We wsi zawrzało, niechybnie już dano znać o wszystkim do władzy bezpieczeństwa. Tylko czekać, rychło pokażą się policyjne mundury. Leśniczanka już pewnie

odzyskała przytomność, pierwsze jej słowo wskazywało na zamek...

Przez całą noc czuwali, aż do tej chwili przegrywając coś jeszcze się dowiedzieć.

Teraz nagwałt jęli szykować się do drogi. Hans ledwie włókł nogami, dębczak stróża dobrze mu zmacał kości.

Postanowili wpaść jeszcze razem do Warszawy, coś tam załatwić i czmychnąć każdy w swoją stronę, jak to już było w planie.

Dochodziła dziesiąta, kiedy nareszcie Hans był gotowy do drogi. Wściekły i rozstrojony do najwyższego stopnia zszedł ciężko do Lancii, jakby wchodził na szafot.

Hibl chwycił kierownicę i odjechali cicho.

W szpitalu w Mławie odwiedzili szofera. Trzymał się mężnie, chociaż groziło mu kalectwo. Pocieszono go, zostawiono różne zlecenia wiernemu kompanowi niepoliczonych szaleństw i pożegnano z żalem.

Znów się rozciągnęła przed ich oczyma szeroka wstęga szosy, ta sama, która onegdaj wiodła ich z cudną branką w zacisze buduaru...

Dzisiaj zmysłowego triumfu nie było na ich twarzach, głód dzikich uciech krwi im nie palił, dziś wracali tą samą szosą ścigani strachem—ku nieznanemu!

Może dwie mile ujechano, gdy naraz motor przycichł...


— Defekt! — jak piorun wpadło im w mózgi.

## X

### PRZYPADKOWE SPOTKANIE

Defekt, aczkolwiek mały, w każdym razie wymagał fachowej ręki i uniemożliwiał dalszą jazdę. Niemalby kłopot zmartwił zdenerwowanych uciekinierów, dla których każda minuta była obecnie droga. Nie widzieli innego wyjścia, jak tylko wrócić jakimś sposobem do Mławy po fachowca. Kilkugodzinna strata czasu wprost przeraziła ich i napełniła grozą. Niepowodzenie krok w krok zdało się teraz iść za nimi.

Naraz ku ogromnej radości spostrzeżono auto, jadące znaprzeciwna. Pędziło pełnym gazem, niemal zawrotnie.

Zygfryd, nie widząc innej rady, stanął na środku drogi i jał powiewać chustką. Spodziewał się na pewno, że nie odmówią mu przysługi. Wszakżeż zwolenników jakiegokolwiek sportu łączy wzajemna solidarność i kurtuazja. Istotnie, nie spotkał się z zawodem. 

Auto wstrzymało szalony bieg, wreszcie sta-



nęło. Wewnątrz, oprócz szofera, znajdowała się tylko jedna osoba: młody, wielce ujmujący mężczyzna.

— Jak najgoręcej przepraszamy łaskawego pana, ale spotkało nas nieszczęście...—począł Zygfryd tonem niezwyklej uprzejmości.—Motor nam zdefektował, a co gorsze, nie wzięliśmy szofera... Ja w tym kierunku—dyletantem, kolega—również... Może łaskawy pan pozwoli, żeby jego kierowca poratował nas jakoś... Nie mamy wyjścia, a do Mławy ponad dwie mile...

Jagmin nie śpieszył z odpowiedzią. Ta niebieska Lancia i jeden z panów o wybitnie jastrzębim nosie zadławiły mu słowa. Całą wolą, jaką posiadał, uchwycił na smycz rozdygotane nerwy.

— Ależ owszem — przemówił wreszcie.

— Pozwoli pan: jestem... Łukomski; to mój przyjaciel, Rawicz...—skłamał dla zachowania jak najdalej idącej ostrożności. Hans się połapał, o co chodzi.

— Jagmin...

Podał im rękę, zaskoczony owemi nazwiskami. W jakowyś dziki płas wpadły mu myśli.

Coś mu poczęło nagle szeptać, że się fałszywie przedstawili. Ten orli nos, Lancia, sąsiedztwo Mławy, dwaj przyjaciele, wszystko to razem mówiło wiele Jagminowi.

Przybliżył się do wozu i mimochodem rzucił okiem do wnętrza. Było puste...

— Szkoda czasu, oglądnę motor sam — rzekł Jagmin i równocześnie podniósł okrywę. — Lubię się bawić w mechanika i znam się nieco na tem...

Przelotnie rzucił oczyma na szofera, że ten rozumiał i nie narzucał swej usługi.

Schylił się nad motorem... Nie szukał jednak wady, tylko skupiał roztańcowane myśli i myślał, myślał! Był prawie pewny, że mu sami złoczyńcy szczęśliwym trafem wpadli w ręce. Gdzie jednak Miłosielska? Czy ją pozostawiono w domu, czy?... — nie wiedział co pomyśleć.

— Panowie tylko tak na spacer czy w dalszą drogę, jeśli można zapytać? — rzucił pytanie Jagmin, manipulując dalej i nie podnosząc głowy.

— Na spacer, względnie w odwiedzinę do Ciechanowa — Hibl odpowiedział.

— Dzień piękny, pogoda... — dodał Hans.

— Tak, bardzo przyjemny spacer... Drogi macie tu dobre, nie tak, jak u nas, koło Kobrynia...

— Owszem, znam tamte strony — pośpieszył Hibl. — Łaskawy pan aż stamtąd jedzie?

— Właśnie, na wycieczkę do Gdyni...

— Cóż tam nowego koło Kobrynia? Oczywiście, świat deskami zabity...

Jagmin sprostował się na chwilę.

— Prawda, zabity, ma jednak teraz sensację... wprost meksykańską! — rzucił celowo.

— Proszę! aż meksykańską?

— Faktycznie! Pewnemu leśniczemu porwano córkę...

— W Kobryniu? — zapytał szybko Hibl, również zaciekawiony.

— Nie pamiętam dokładnie, dość, że porwano, więc oczywiście sensacja... Nawet gazety o tem piszą... Ot, mam w teczce gazetę, może panowie

przeczytacie, gdyż w każdym razie rzecz w Polsce niecodzienna...

Dostał z teczki gazetę i wręczył ją Hiblowi.

— Właściwie porwano ją w Warszawie, gdy przyjechała z tamtych stron—mówił dalej i z udanym uśmiechem patrząc badawczo na przygodnych słuchaczy. — Ta gazeta jest starsza, zdaje mi się, że z czwartku, jednak dzisiaj w Pułtusku czytałem przy śniadaniu, że miał podobno porwać ją jakiś Hibl czy coś takiego... w każdym razie nieprzeciętna figura, bo baron...

— Ciekawe... — bełkotnął Zygfryd.

Jagmin dokładnie widział, jak mu zadrżały wargi i jak przybielał.

— Owszem, nawet bardzo ciekawe!—potaknął Jagmin.—Zresztą, macie panowie chwilę czasu, to możecie przeczytać, a ja zaś wracam do motoru...

Pewny był prawie od pierwszego wejrzenia, kogo mu los tak szczęśliwie nawinał. Ból gryzł go żywcem, że musiał się hamować i stłumić w sobie straszną pokusę, by się nie rzucić na zbrodniarzy i nie wycisnąć im z gardzieli—gdzie ona? co z nią zrobili?!

Rozsądek jednak nakazywał inaczej. Przywdział więc maskę obojętności i dziwnego spokoju.

Obaj panowie, twarz przy twarzy, wczytali się w gazetę.

Jagmin przez skórę czuł, co się w ich myślach dzieje.

Nareszcie powziął plan. Wydawał mu się z pośród wszystkich najlepszy.

— Trzebaby klucza...—szepnął jakby do siebie i

podszedł do szofera, który nie spuszczał prawie oka z eleganckiego pana o cienkim, orlim nosie. Takiego przecież w Sulisławcach opisywał służący...

Niby szukając klucza, coś szeptał do szofera.

— Dobrze, rozumiem!—ten również szeptem odpowiadał.

Znów wrócił do motoru i coś tam jął odkręcać.

Zygfryd przeczytał, względnie wchłonął sensacyjny artykuł. Nic dziwnego, że było o tem w prasie, jakimż jednak sposobem jego nazwisko znalazło się na łamach? Czyżby Stefi? Zahuczalo mu w głowie, skóra ciała zgęśniała. Zdolał się jednak opanować.

— Rzeczywiście, że meksykańska historja...— wyrzekł niby swobodnie, nawet z uśmiechem, chociaż ten uśmiech był gwałtem wymuszonym.

— Prawda? Zostawmy jednak nowoczesną Sabinę i wróćmy do motoru... Oto, proszę panów, defekt—wskazał palcem—rurka, prowadząca benzynę do gaźnika, zda się, z powodu zbyt silnego przykręcenia śrubki na składaniu i silnych wstrząsów, urwała się przy gwintach, przerywając dopływ benzyny. Proszę, benzyna cieknie...

— Czy to da się naprawić? — zapytał Hans z widocznym niepokojem.

— Nawet dość łatwo, w ciągu kwadransa, tylko potrzeba ją zlutować. Do tego jednak konieczne są: kolba, cyna oraz maszynka spirytusowa... Niestety, ja tego nie posiadam... Chyba panowie?

— Możliwe, poszukajmy...

Jednak nie znaleziono ani owych przyrządów, ni zapasowej rurki.

— Wobec tego sprawa przedstawia się poważniej—rzekł Jagmin wolno, spokojnie.—Nie widzę wyjścia, trzeba sprowadzić mechanika z rekwizytami, albo szofera...

— Co za pech!—skrzywił się Zygfryd.— Jesteśmy w polu, a do Mławy dwie mile...

Jagmin coś ważył w myślach, wreszcie zapytał:

— Bardo się panom śpieszy?

— Ależ tak...

— Mamy nadzwyczaj pilne sprawy! — dorzucił szybko Hibl, zapominając, iż przed chwilą mówiono tylko o spacerze.

Jagmin to zauważył. Spoglądnął na zegarek.

— Wprawdzie mnie również śpieszno, ale tak przecież panów nie zostawię... Auto moje to załatwi... Co tam dwie mile!

Nie mieli słów podziękui, jednak Jagmin, aby uniknąć podania ręki łotrom, zwrócił się szybko do szofera.

— Słuchajcie, walcie do Mławy... W każdym garażu znajdziecie te przybory. Oddamy je zpowrotem... Tylko wracajcie!

Szofer już puścił w ruch maszynę. Za chwilę tuman kurzu zakrył samochód.

— Czem my się panu odwdzięczymy?—rzekł Hibl, z wdzięcznością patrząc w oczy Jagmina.

— Naprawdę, uprzejmość pańska jest ogromna!

— E-e, bagatela—odrzekł Jagmin niedbale.— Należy przec eż wspomagać się wzajemnie. Ależ to upał!—odwrócił temat.—Może schronimy się do wozu?

— Ależ prosimy!—zawołał Hans, otwierając drzwiczki ruchem nadzwyczaj ugrzecznionym.

— Zdaje mi się, że panu coś dolega?—zapytał Jagmin, widząc, jak rzekomy pan Rawicz z trudem wchodzi do środka.

— Ot, pamiątka konnej jazdy... Popręgi pękły, i z siodłem zwałem się na drogę...

— Szczęściem, że na tem się skończyło... Panowie może z tych okolic?

— Tak, z Semborka—wymknęło się z ust Hansa.

W momencie odczuł, że niepotrzebnie wyrzekł prawdę. Oczy Hibla mówiły mu to samo.

— Sembork... To gdzieś za Mławą, prawda?

— Tak, ku wschodowi. Okolica również od świata odgradzona... Jeziora, trzęsawiska, lasy...

Jagmin aż przygryzł wargi na myśl, że na takim odludziu bezbronne, nieszczęsne dziewczę znalazło się w mocy tych oto uwodzicieli... Całe piekło szalało w nim, drapiąc i rozrywając serce, a przecież trzymał się na wodzy, dusił ból w pierśsiach, spokój udawał.

— Jednak nie macie takich sensacyj, jak ta nasza, kobryńska...—zażartował z wysiłkiem.

— No, tak... Brak pięknych kobiet nie stwarza Don Juanów, a w naszych stronach w to ubogo...

— Zatem i życie prozaiczne—dorzucił Jagmin. —Panowie często odwiedzacie Warszawę?

— Rzadko!—pośpieszył Zygfryd z odpowiedzią.

—Od trzech miesięcy nie wiemy, jak Warszawa wygląda... Gdy nudy dadzą się we znaki, to odwiedzamy Poznań...

— Niezwykłe miłe miasto! A i kobiety po-

dobno warte spojrzeń... Ja zawsze miasto oceniam wedle jego mieszkańek...

— Zupełnie słusznie!—Hans zauważył. — To cały urok miasta, jego radość i... słodka tajemnica!

Ożywił się cośkolwiek, czując, że ich przygodny dobroczyńca chętnie widzi ten temat.

Jagmin z jakąś pasją zamieniał się w aktora.

— Tak, tajemnica...Dobrze pan to określił. To haszysz—owe ciche lokale... gabinetiki... szczybioty sylfid... Może panowie już żonaci? Eh, chyba nie...

— Oczywiście! Ożenić się, to znaczy dać sobie wyrwać pióra ze skrzydeł...—określił Zygfryd. —A tu świat ciągnie, wabi...

— I wiedzie czasem do szaleństw!—przerwał Jagmin.—Oszołomi do utraty pamięci, że człek na wszystkoby się ważył. Naprzykład, ten jakiś baron.. Widać, nie oparł się powabom, oszalał, kiedy się targnął aż na rzecz taką, jak porwanie... Rozumiem wszystko, przecież jesteśmy tylko ludźmi, jednakże gwałtu nienawidzę! Co za przyjemność zdobywać upragnioną kobietę siłą, przemocą? Wszak jest się wtedy chyba pewnym, że już sama bliskość natręta jest dla kobiety czemś wrogiem, wstrętnem, odrażającym! Czyż nie?

— Pewnie—odszepnął Hans.

— Co z tego przyjdzie takiemu baronowi, że porwie swój ideał? Gdzie go wywiezie, by świat nie wiedział o tem? Czy w tej kobiecie wzbudzi kiedy wzajemność? Na pewno nie! Mniejsza, z jakich powodów chwycił się tego ostatecznego środka z miłości czy z głodu zmysłów, to w każ-

dym razie z jednym się spotka: z nienawiścią z jej strony i obrzydzeniem. A później co? Da się to długo ukryć? Potem sąd i t. p. nieprzyjemne następstwa... Czyż wobec tego warto dla jednej chwili szalu tyle poświęcać?

Zygfryd uznawał teraz słusność, lecz nic nie mówił. Hans milczał również.

— Teraz druga strona medalu—ciągnął Jagmin, obserwując ich twarze.—Czy taki raptus zastanawia się nad tem, że tę kobietę moralnie wprost zabija? Że na zrospaczonych rodziców zwała nieszczęście? Czytałem właśnie w Pułtusk, że ojciec owej porwanej na pierwszą wieść ciężko się rozchorował...

— Czy ma pan tę gazetę?—zapytał Hibl, jak-gdyby nagle ożył.

— Niestety, gazeta była kawiarniana. Nie lubię czytać sensacyj, jednak tę przeczytałem z ciekawioną tak śmiałością porwania—gdzież to! w Warszawie w biały dzień! — jak i bystrością policji...

Sposób owej rozmowy niósł Jagminowi jakieś dzikie i zarazem bolesne zadowolenie. Nie mogąc ich wprost pytać, męczył się razem z nimi.

— Jakto, już go chwyciła?

— Do tego czasu jeszcze nie, jednak odkryła już nazwisko i jest na tropie. Tylko, że baron dobrze się kędyś zaszył. To jeszcze bardziej podnieca ogół i fantazję prasy. Słowem, nielada sensacja! O dokonanej zbrodni powiadomiono wszystkie graniczne władze, wyznaczono nagrodę za



ujęcie żywego sprawcy lub odszukanie zaginionej...

Hiblowi robiło się raz zimno, to znów gorąco. Hans zaciągał się dymem i tarł palcami czoło, jakgdyby go paliło. Policja już tropi, wysyła listy gończe, węszy po kraju i czyha na granicach... Jak teraz ująć, w którą stronę się udać?

Tak byli w duchu przerażeni, że podejrzliwie poczęli patrzeć na Jagmina.

Ten się jednakże pozornie nie przejmował, zmyślał, opowiadał spokojnie, aby czas skrócić i palił prawie stale.

— Ja jednak myślę—znów począł dalej—że ów w gorącej wodzie kąpany baron jest niemniej chytry od policji... Mógł przewidywać, co się stanie, i zwiął zawczasu do Egiptu...

Zygryd jeszcze bardziej przyplótniał, chociaż się starał opanować.

— Dlaczego do Egiptu?

— Gdyż wykazało śledztwo, że do Egiptu miał już gotowy paszport. Licho wie, jak sprytnie się urządził! Cóż z tego, że prawie wszystkie pisma podały jego podobiznę, gdy on już gdzie nad morzem... We czwartek porwał leśniczanę, a w piątek mógł już drapnąć. Tylko co z nią uczynił? Przecież jej chyba nie zamordował, tem bardziej, jeżeli za nią szalał... Czyż nie?

Hibl ledwie usta mógł otworzyć.

— Pewnie...

Niby się podpart w rzeczywistości jednak część twarzy przykrył dłonią. Niespodziewa-

na wieść, że podobizna jego jest już w dziennikach, aż mu zaparła oddech.

Teraz zbrodniarzom zawyło nad uszyna—kto jest ten człowiek? dlaczego zaczął mówić o tem porwaniu? dlaczego każde jego słowo tak jakoś dziwnie brzmi? Czy to tylko złudzeniem, czy on istotnie kogoś rozpoznał?...

Już ich się prawie chwycił obłądny lęk, lecz jeszcze jakoś się trzymali.

Jagmin rozumiał, że nie należy przeciągać struny zbyt daleko.

— Eh, co nam wreszcie o to!—machnął ręką. —Duszo tu już, panowie. Chyba wyjdziemy, by rozprostować kości, bo znów nas jazda czeka...

Wyszedł pierwszy ostrożnie, gdyż wyraz twarzy „Rawicza i Łukowskiego“ był coś za bardzo niespokojny.

Wywiązała się znowu dalsza rozmowa, ale już inna, o pogodzie i zbiorach.

Podejrzliwość dwu panów malała i okazała się bezpodstawną. Alłści groza, że policja gorliwie już pracuje i na ślad wpadła, przygniotła ich ciężarem, paraliżując wszystkie władze umysłu. Bo co uczynić? gdzie uciekać?

Jagmin, wesoło teraz rozmawiając, jał zbierać polne kwiaty na wałku obok drogi. Żartował, śmiał się przez łzy, przez niepokój, dręczący go straszliwie, przez wprost obłądną rozpacz.

...Gdzie jest to dziewczę, co się z niem stało? Czy już zrzucili maski i porzucili ją gdzieś na odludziu?

Cóżby dał za to, by móc zaglądnąć do ich myśli i spojrzeć w oczy tajemnicy!

Cierpiał bezmiernie, rwał kwiaty i słuch wyteżał, czy go zoddali odgłos motoru nie doleci.

Zygfyrd i Hans rozmawiali teraz ze sobą tylko spojrzeniem. Z ócz im patrzyła trwoga, ogłupiała bezradność, męka.

Potworność czynu zawisła ponad nimi jak miecz katowski.

...Co teraz? zawrócić lub gdzie uciekać? Ze wszystkich stron ich tropią, pędzą, pozostawiano wszędzie sidła! Gdyby się nawet udało przejść granicę, czy listy gończe i tam ich nie osiągną? Czy nie założą kajdan i nie oddadzą polskim władzom?

Wreszcie w tumanie kurzu ukazał się samochód.

Rozdygotany Jagmin wyszedł na drogę. Zmienioną twarz ukrył w wiązance kwiatów.

Wóz się zatrzymał. Firanka okno zasłaniała... Otworzyły się drzwiczki, ale z przeciwnej strony... Naraz trzy osoby w mundurach wyskoczyły z za wozu. Policja!

— Ręce do góry!—zawołał nagle ostry głos.

Jagmin wskazał rękoma sprawców. Browning komisarza oraz dwa karabiny skierowały się w ową stronę.

Złoczyńcy zbladli śmiertelnie. Zda się, że skamienieli.

W tymże momencie Jagmin przyskoczył do struchlałego Hibla, opasując go potężnym splo-

tem ramion. Ten ani drgnął, jakgdyby zastygł w osłupieniu.

Nim jednak zbliżono się do Hansa, ów począł wstecz się cofać.

— Precz!—wrzasnął i błyskawicznym ruchem wyrwał z kieszeni browning.—Precz, psy! precz!!

Już podniósł się karabin, ale w tejże sekundzie broń Hansa była już przy skroni.

Padł strzał...

Z jękiem runęło ciało na gościniec.

Stało się to tak nagle, że wprost nie było w ludzkiej mocy, aby przeszkodzić samobójcy. Przerażliwe zdumienie ogarnęło obecnych.

Pie.wszy otrząsnął się komisarz.

— Skuć tego pana!—rozkazał zimno, pokazując na Hibla.

Poczęto się szamotać, jednak uścisk Jagmina ułatwił zadanie posterunkowym.

Hans konwulsyjnie tarzał się w kurzu. Usta, pełne piasku i krwi, charczały w przedśmiertnej męce.

Komisarz stanął nad nim. Nie było mowy o ratunku.

Prężył się, drgał jeszcze chwilę, rzeził. Wreszcie, z krwawą pianą na ustach ucichł...

Komisarz, milcząc, spoglądał chwilę na wstrząsający obraz śmierci, potem się zbliżył do skutego.

— Daruje pan, z przykrością spełniam mój ciężki obowiązek. Pańska godność?

Oblędne oczy Hibla patrzyły na zwłoki przy-

jaciela, znieruchomieła w strudze krwi. Słów komisarza zdał się nie słyszeć wcale.

Ten pan jest baronem Zygfrydem Hiblem—oznajmił Jagmin.

— Zna go pan osobiście?

— Osobiście nie. Przedstawił mi się jako Łukomski, lecz jestem pewny, że to pan Hibl... Zaś ów nieszczęśnik, to pan Steinbock z Semborka gdzieś koło Mławy. Zresztą, ten trup jest już świadectwem i wyklucza pomyłkę!

W krótkich słowach Jagmin streścił komisarzowi fakt zbrodni i przebieg poszukiwań.

— Niesłychane!

— Panie baronie—zwrócił się teraz Jagmin do Hibla—już to się stało, co mógł pan przewidywać... Teraz pytam się pana—gdzie panna Miosielska, coś pan z nią zrobił?—teraz dopiero głos mu się rozdrzał, jak dziecku.

Hibl jak głaz milczał. Oczy jego jak nieprzytomne podnosiły się z plamy gościńca i dotykały obcych twarzy.

— Na miłość boską, mów pan! Choć teraz okaż się człowiekiem!! Żyje? gdzie jest??

Baron nie odpowiadał. Tylko szczęka mu drgała i pot splywał po obielalej twarzy. Było widocznem, że człek ten nie przemówi, albo utracił nagle władzę mowy.

— Czemu pan milczy? To jedno tylko pragnę wiedzieć—żyje?!—spytał powtórnie z rozpaczłą prośbą w głosie.

Ten milczał nadal, tylko jakimś okropnym wzrokiem patrzył się na Jagmina.

— Niech się pan uspokoi, dowiemy się—odezwał się komisarz. Następnie zwrócił się do posterunkowych:—Proszę usunąć zwłoki na brzeg gościńca... Jeden z panów zostanie tu na straży, aż do czasu przybycia komisji...

Dano rozkaz szoferowi, aby zawrócił.

Hibl spojrzął jeszcze w stronę trupa, zbiełałe wargi wydały jakiś nieartykułowany okrzyk.

— Proszę! proszę!—naglił komisarz.

Hibl wszedł, jak automat. Rzucił się w ką, brzęknął skutemi dłońmi i twarz niemi zasłonił.

Komisarz usiadł obok, policjant naprzeciw. Jagmin bezmyślnie podniósł z gościńca wiązaną kwiatów i zajął miejsce przy szoferze. Wolał nie widzieć tej wrogiej twarzy, skrzywionej przerażeniem.

Wóz ruszył, pozostawiając na gościńcu zwłoki człowieka, który w obawie przed kratami więzienia sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

Za kilka godzin zreperowana niebieska limuzyna miała go przewieźć do kostnicy... Wytworzony wóz, świadek tylu szaleńczych uciech, a niezrządki i płaczu, miał stać się wkońcu karawanem.

Było już dawno po południu, gdy w mławskim komisarjacie kończono protokoły.

Naraz drzwi się otwały. Na progu zjawił się policjant, meldując, że ze Semborka przybył konny postaniec z niezwykle ważną wieścią..

## XI

### SNY NAJAWIE

Z bijącym sercem przestąpił Jagmin próg pokoju...

Tuż za nim wszedł komisarz, poczem pastor wraz z siostrą.

Miłosielska w fotelu spoczywała przy oknie, przy temże samem oknie, przez które nocą wykradali ją wrogi. Na tyle czuła się już na siłach, że mogła powstać z łóżka.

Co tylko jak usłyszała warkot motoru na podwórzu... pastor z siostrą wyszli naprzeciw... była pewna, że przyjechała policja...

I oto...

Jakież zdumienie ogarnęło ją nagle! Czyżby znowu gorączka nasunęła jej majak?

Jasne, głębokie oczy spojrzały na nią... Oczy tak dobre, tak przyjacielskie, tak znane...

Jagmin ukłonił się poważnie. Drżąc z szczęśliwości, przybliżył się do Hanki.

— Pani pozwoli... jestem Jagmin...

Biała ręka wysunęła się na powitanie. Usta Jagmina pochyliły się ku niej. Dwie dłonie złączyły uścisk radosny i wymowny. Ileż było w nim treści, ileż tęsknoty i szczęsnego zdumienia!

— ...My właśnie z panem komisarzem w sprawie owej bolesnej i fatalnej przygody...

Teraz przedstawił się komisarz.

— Wiemy już prawie wszystko—wyrzekł spokojnie.—Serdecznie z panią współczujemy... Spisała się pani naprawdę bohatersko... Jeden prześladowca pani, pan baron Hibl, jest już zamknięty... drugi, pan Steinbock, znajduje się w kostnicy...

Wielkie zdziwienie padło na oblicza obecnych.

— Jako? — zapytał spieszenie pastor.

— W chwili arestowania popełnił samobójstwo—odpowiedział Jagmin. — Niestety, nie dało się przeszkodzić...

— Pan Hans? Okropnie!

— Niech się dobrodziej nie przejmuję — odezwał się komisarz.—Sam dobrowolnie wymierzył sobie karę... Jakżeż można się było porwać na taką zbrodnię! Porywać kobietę w najbardziej niecznych celach, truć ją narkotykami... potem znowu chorą wykradać... to przecież jest nie-ludzkie!

— Ależ, no tak, przyznaję! To był postępek straszny! — potwierdził pastor. — Szkoda jednak młodego życia... Czy to wszystko było potrzebne?

— Takiego życia nie jest bynajmniej szkoda!

— I to prawda..



Hanka dotąd milczała. Raz podnosiła oczy, to znów ożywiały rumieńce jej twarz zmizerowaną.

— Pani najlepiej wie, — zwrócił się do Miłosielskiej — co wśród tych panów padło jej przeżyć... Stało się jednak, teraz już pani nic nie grozi...

— Dziękuję panom! — szepnęła, z wdzięcznością oczy na nich podnosząc.

— Cóż ja? ja tylko jestem pionkiem... Cała załoga wytropienia zbrodniarzy i ich ujęcia, leży po stronie tylko pana Jagmina... Właśnie pan Jagmin dopiero wczoraj zaczął śledztwo i dzisiaj już uwięził je cudownym rezultatem... Myśmy w Mławie zgoła nic nie wiedzieli... a nim przybył postaniec od księdza dobrodzieja, złoczyńcy byli w naszych rękach. Niewiele brakowało, a zdołaliby uciec bezkarnie... Pan Jagmin, z powodzeniem udając dedektywa, wyręczył policję, która, jak mi się zdaje, byłaby mniej szczęśliwa... pozwoli pan, że w obecności państwa, a przede wszystkim pani, jeszcze raz panu powinszuję... — i całkiem szczerze uściśnął rękę Jagminowi.

Znowu błękitne, chociaż zakłopotane oczy Hanki spojrzały na Jagmina.

— A skąd pan się dowiedział że... że mnie porwano? — zapytała obecnie, zbierając rozpierchłe myśli.

Jagmin, bez jakichś nadzwyczajnych kolorów i opisów, lecz całkiem bezpretensjonalnie skreślił historję tej jednej doby.

— ...Pojałem to nieszczęście i straszne położenie pani... ojca i brata... — kończył — więć z pro-

stej powinności, mając w ręku już jaki taki wąż-tek, wszcząłem poszukiwania...

Głos mu drżał nieco, oczy mówiły stokroć więcej niżeli usta.

Jakżeż to czuła!

— Bardzo dziękuję... Niech Bóg to panu wynagrodzi...

Znowu do ust przycisnął drogą rączynę.

— Czy tatuś bardzo słaby?

— No, zasłabł... ale nie groźnie, nie... Zapewne chyba otrzymał już depezę, która postawi go na nogi... Depeszowałem bowiem z Mławy, że odszukałem panią, że nic strasznego się nie stało, że pani zdrowa, i że dziś jeszcze wrócimy do Warszawy... Posłaniec księdza dobrodzieja przywiózł tę wieść, i, aczkolwiek przesadził co do zdrowia łaskawej pani, to przecież uważałem, iż nie należy depeszować dosłownie...

— Zapewne tatuś bardzo chory! — przerwała płaczącym głosem. — Pan nie chce mi powiedzieć... a ja wiem!... wiem!... Ja dobrze znam tatusial... — i rozpląkała się na dobre. — Boże, czy ja co zawińlam, żeby... żeby tyle nieszczęścia... tyle trwo- gi... Ach, co ja przeszła... i oni tam...

Nie mogła płaczu pohamować, ani tej skargi rwącej się z piersi jak żywiołowy potok. Roztkliwiła się bardzo, nie tyle może na wspomnienie okropnych chwil, ile w obliczu tych ócz dobrych, zjawionych niespodzianie, teraz, gdy już minęła groza, gdy straszne widma się rozwiały...

Poczęto ją pocieszać i uspokajać, lecz szło to ciężko. Pragnęła się wypląkać, wyzalić, jak opu-

szczone dziecko, gdy je nareszcie ujmą matczyne ręce.

Jagmin na widok owych łez drogich sam nie mniej się roztkliwił.

— Panno Anusiu, proszę nie płakać—błagał.— Tatusz jedynie tylko zasłabł... To nie choroba, tylko rozpacz... Już tam zapewne radują się, już wiedzą... Dziś jeszcze się ujrzą... Panno Anusiu!...

Nie zważając na zbytnią poufałość, ujął dłonie płaczącej i prosił, cieszył.

Chwyciła mocno jego ręce, cisnęła do nich twarz.

Łzy uczuł na nich z oddechem ust gorących.

— Już panu wierzę... pan taki dobry... nic chyba nie ukrywa przede mną...

— Ależ nie! nie!

Wreszcie zdołano ją uciszyć. Spazm począł ją opuszczać, otarła twarz chusteczką i modre, różne oczy spojrzwały znowu na Jagmina.

— Tak pragnę, aby już jechać! Zupełnie czuję się na siłach...

— Niebardzo jeszcze, niebardzo—odezwała się siostra pastora. — Pani tylko się zdaje...

— A choćby, proszę pani! Ze względu jednak na tatusia powinnam wracać jak najprędzej. I tak już dość kłopotu sprawiłam państwu. Czemu ja wam się odwdzięczę? Gdyby nie państwo, gdyby nie ksiądz dobrodziej, to nie wiem, co by się ze mną stało...

— Bóg panią uratował...

— Tak, istotnie—odezwał się komisarz—wpadła pani w bardzo groźną pułapkę... Na szczęście

wszystko skończyło się jako tako pomyślnie. Obecnie przyszła kolej na moją rolę. Pani wybaczy, lecz nim odjedzie, zechce mi jeszcze opowiedzieć przebieg całego zajścia.. Wprawdzie pan baron Hibl zeznawał już, lecz oczywiście, jak mu było wygodniej... Sprawa jest bardzo ważna i słowa pani są w tym wypadku jedynie miarodajne.

— Proszę, wszystko panu opowiem, dokąd tylko byłam przytomna.

Komisarz dobył papier i siadł przy stole. Jagmin w milczeniu wsparł się o okno.

Poczęła się opowieść, przerywana niekiedy jakimś pytaniem komisarza. Taśma filmu ją rzucać obrazy od leśniczówki w Sulisławcach aż do chwili ucieczki. Szły jedne za drugimi, a wszystkie czarne, pełne ohydy, podłości, zaciętej walki... Tu i owdzie na obraz upadła łza, zbudzony lęk zadrzął na wargach...

Jagmin schylił głowę ku piersiom i słuchał, chwycił każde słowo. Na duszę jego raz padał trwożny cień, że aż mu dławiał oddech, to znów ją obraz jakiś wypogadzał.

Przeżywał z nieszczęśliwą wszystkie owe rozpaczliwe godziny, każdy szmer trwogi, każdy puls serca, przepojonego lękiem. Podziwiał jej przytomność, bohaterskie czuwanie, całą tę walkę tak męzną, choć tak nierówną. Jakaś gryząca zhora opadała mu z piersi... Czcią coraz większą ją otaczał i niewysłownem uwielbieniem. Wszystkie jego uczucia zlały się teraz w jedno, wprost żywiołowe... Wiedział, jak mu na imię...

Ledwie się wstrzymał, aby nie runąć do jej

stóp z okrzykiem bólu, podziw i miłości! Jakżeż ją kochał, jakżeż teraz ubóstwia! Za ową walkę o swą kobiecą godność, za te męczarnie, za nieskalaną i bohaterską duszę!

Co chwila źrenice Hanki szukały Jagminowych, a zajrzawszy w ich głębie, coś im nieśmiało wyszeptwały w przelocie.

Skończyła opowiadać. Okazało się, że zeznania barona za wiele zataiły. Tłumaczył się miłością, niepoczytalną, a tu wchodziła w grę prosta nikczemność. Potwierdziły ją wkońcu dalsze zeznania pastora i jego siostry. Zbrodniarze nie przebierali w środkach, nie liczyli się z niczem, byle tylko osiągnąć powzięty cel. Wiele dawało do myślenia, co czekało ofiarę, gdyby napad na plebanję był udał się złoczyńcom...

Śledztwo potrwało jeszcze dość długo, zkolei przesłuchano stróża, jedyne go świadka nocnego zajścia, poczem komisarz razem z posterunkowym, który dotąd pozostawał na polu, udali się do zamku. Niewiele jednak zdołano dowiedzieć się w tej sprawie: nikt nic nie wiedział, kiedy i dokąd odjechał dziedzic, czy bawił kto u niego, lub co się stało z rannym szoferem. Tłumaczono się, że pan przeważnie mieszkał w zamku, a nie w pałacu, i rzadko przez służbę był widywany. Trudno było w to wierzyć, wobec tego dalsze śledztwo odłożono do jutra. Mimo to jednak zażądano od rządcy pokazania wszystkich ubikacyj tak w zamku, jak i w pałacu. Komisarzowi szło zasadniczo o szofera. Niestety, prócz krwawych plam na progu, nie było po nim śladu. Nie znaleziono również

walizki leśniczanki. Prawdopodobnie przed wyjazdem ukryto ją starannie lub zatopiono w stawie... Nie ulegało wątpliwości, że baron to wyświekli.

Po zleceniu zarządcy, by o zaszłym wypadku powiadomił bawiącego w Ostendzie ojca nie żyjącego pana Hansa, już szarówką wrócono na plebanję.

Panna Hanka zmartwiła się niemało przepadnięciem walizki, jednak to prędko przeboleła. Poczęła naglić do wyjazdu, nie dbając, że ledwie trzyma się na nogach. Zresztą jakaś ogromna radość z każdą chwilą powracała jej siły.

Gościnnie pastor uwolnił ich dopiero po spożyciu wieczerzy.

— Znów pani wsiadła do auta — żartował z gan ku pastor — i nie boi się wcale...

— Czego? — zapytała przedziwnie miłym głosem.

— A nuż owi panowie są przebrani i znowu panią porwą...

— Bardzo możliwe! — wtrącił komisarz, z lubością patrząc na dziewczęcą urodę.

Żrenice Hanka spojrzały na Jagmina.

— Wprawdzie mam jeszcze naboje w magazynku, ale wsiadam bez lęku... Czyżby pan Jagmin mógł mi wyrządzić krzywdę?

Ten się uśmiechnął, lecz nic nie odrzekł, względnie odpowiedział spojrzeniem.

— A ja? — spytał komisarz.

— Pan? Też nie... Czyje te kwiaty? — rzuciła

szybkie zapytanie, spostrzegłszy na siedzeniu wiązankę polnych kwiatów.

— Kto pierwszy do twarzy je przytuli—rzekł Jagmin.

Czuła, że on gdzieś w polu je pozrywał i pewnie dla niej...

— Zatem są moje! — zawołała, nurząc w nich usta.

Szofer zapalił światło i za chwil kilka, wśród nowych życzeń i podziękowań, opuszczono przygodnych, zacnych gospodarzy.

Hanka minęła dworski park jak widmo. Aż dreszcz ją całą przeszył na myśl, co tu przeżyła. Lecz to już przeszło, jak sen koszmarny, jest wreszcie wolna i, co ledwie podobne jest do prawdy, przy niej jest—on... Co za przedziwne, niepojęte zrządzenie losu...

W Mławie wysiadł komisarz razem z posterunkowym. Poszukano benzyny, co im jednakże z powodu późnej pory i niedzieli sporo zajęło czasu i znów ruszono w dalszą drogę.

Pozostali nareszcie sami, gdyż jak się wydawało, pragnęli tego obydwaje.

Ale jakoś niebardzo poczęła kleić się rozmowa. Coś im więziło słowa, gdy je zaś wypowiadali, to dziwnie niespokojnie, drżąco, nieswojo.

— Oto tu na gość ńcu wpadli mi w ręce—rzekł Jagmin, poznając miejsce, które w tej chwili przejeżdżali.—Bóg ich za panią pokarał tym defektem... Byłbym ich może minął, chociaż kto wie, czy niebieskie auto w tych stronach nie byłoby mię za-

trzymało?—lecz sami to zrobili... Już tak być miało! I tu rwałem te kwiaty...

— Czy dla mnie? — zapytała cichutko. — Miał pan przecucie, że mię odnajdzie?

— Wprost w to wierzyłem! Żarła mię rozpacz, lecz poprzysiągłem sobie, że nie opuszczę rąk, dopóki tchu mi staniel!

Milczała chwilę.

— Do śmierci będę panu wdzięczna! — szepnęła wreszcie. — Za tyle trudu, za tyle poświęcenia... Jakżebym jednak chciała, aby poza mną nie została ludzka krew, aby to wszystko nie tak tragicznie się skończyło...

— Niestety! Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę! Ktoby pomyślał, że ludzie z towarzystwa na taki czyn się porwą! A jednak się porwali, bez krztyny ludzkiej czci i godności, jak prości zbóje...

Znowu zamilkli.

Odezwwały się samochodowe trąbki. Jakies auto ich minęło.

To wywiadowca Szroniec jechał w towarzystwie dwóch mężczyzn i przerażonej Stefi... Jechał wprost do Semborka, pełen dobrej nadziei i fantazji...

— Dobrze się pani czuje? — znów począł Jagmin.

— Owszem, zupełnie dobrze...

— A dlaczego tak milczy?

— Pan też...

Spojrzeli sobie w oczy.

— Panno Haniu, pamięta pani nasze przed rokiem pożegnanie na dworcu?



— Pamiętam...

— Widzi pani, przecież my się już dawno znamy... Ile ja razy później błądziłem po tej naszej Alei... Niestety, już pani nigdy nie spotkałem, jak to ongiś codzień bywało...

— Opuściłam Warszawę i zamieszkałam w lesie... przy ojcu...

— Wczoraj ten las widziałem, gdy, jak to już pani opowiadałem, przybrałem rolę detektywa... Dlaczego tego lasu ja wcześniej nie poznałem? A wszak, przyznam się teraz, po tem naszym tak niepomyślnem pożegnaniu na dworcu, szukałem go razem z jego mieszkanką... Kilka tygodni zrędu ogłaszałem w dziennikach i prosiłem o adres lub bodaj jedno słówko...

Zdumiała się ogromnie.

— I pan mnie poszukiwał?

— Tak... Tej pani, która musiała zapamiętać, jak ktoś rzucił się ku niej za pociągiem...

— Boże!—zawołała z przejęciem. — Proszę mi wierzyć — nie czytałam... Przecież... przecieżbym była coś napisała...

Tak jej zwierzenie owo ścisnęło serce, że aż ją przejął ból.

— Wierzę, wierzę! Nie sprzyjało mi szczęście... Cóż miałem począć? Ciężko mi było... Jednak nie straciłem nadziei... Dość często odwiedzałem Warszawę, naszą Aleję i stale się łudziłem... Żyłem tylko tą złudą i tem ziarenkiem wspomnień... Wreszcie w pamiętny czwartek, na Marszałkowskiej, spotkałem panią znowu...

Już miała szepnąć, że przeczuwała to spotkanie, lecz słowa w krtani jej uwięzły.

— ... Raczyla pani obejrzeć się łaskawie i... pojechać dalej—wyszeptał z żalem, który się skryć już nie dał.

— Tak mię to zaskoczyło, że... sama nie wiem!..

— Później szukałem pani po ulicach... aż do soboty... do wczoraj...

— Poco? dlaczego? — spytała cicho, chociaż dobrze wiedziała, co jego drżący głos oznacza.

— By znów spoglądać w oczy pani... jak dawniej... Aby uciszyć coś, co nigdy we mnie nie mogło się ukoić... Spotkanie nasze wówczas na dworcu ośmieliło mię i nakazało tęsknić... Przekonałem się wtedy, że jednak, jednak jestem dla pani nie tak znów obcy i obojętny...

— Prawda... Zawsze myślałam, że pan musi być bardzo dobry... Teraz okazał pan tę dobroć do takich granic, że...

Nie dokończyła zdania. Niewymówione owe słowa drgały jednak w powietrzu i Jagmin duszą je uchwycił, zrozumiał, wchłonął w siebie. Towarzyszyły im spojrzenie bliskie, pełne ufności, minionych tęsknot, szczęścia.

— Panno Anusiu!... Jakżeż dla pani mógłbym być inny! Zawsze wyobrażałem sobie panią jako anioła, którego postać sieje promienie, który mi sprzyja, który rozprasza smutek... Wtedy w Warszawie nie byłem nigdy smutny, wtedy codzień piłem radość z ócz pani, jak z krynicy...

— Lubiłam pana, to i przyjaźnie spoglądałam...

Do ust przycisnął jej dłoń rozdrzała,

— Dziękuję...

Znów fala zwierzeń urwała się, jakowaś słodka siła odbierała im mowę.

Hanka, nie wiedząc, coby począć, zanurzyła twarz w kwiaty.

— Jak pachną...

Jagmin pochylił się ku wiązce.

Zetknęły się ich głowy wśród polnych kwiatów.

— To pani dusza przez nie pachnie...

— Jeśli już tak, to wdzięczność moja bezgraniczna...

Zbliżał ich słodki szept, przybliżała tęsknota niewymówionych nigdy pragnień, przybliżała ich miłość, dusząca się już w sercach, zwierzeń łaknąca...

— Och, jakbym pragnął, aby ta chwila przemieniła się w wieczność... Abym ten słodki szept już zawsze słyszał.. Aby to szczęście, którym ty jesteś, nigdy ode mnie nie odeszło...

Kwiatek rumianku dzielił jeszcze ich usta.

— Jeśli jestem tem szczęściem, to... to nie odejdę...

— Haniu!!

Jedną myślą porwani, wpadli sobie w objęcia jak w przerozkoszną toń.

Usta, łaknące pocałunków, wchłaniały w siebie szepty najświętszych zwierzeń.

Mijały chwile —

Noc była, a im się wydawało, że świecą wszyst-

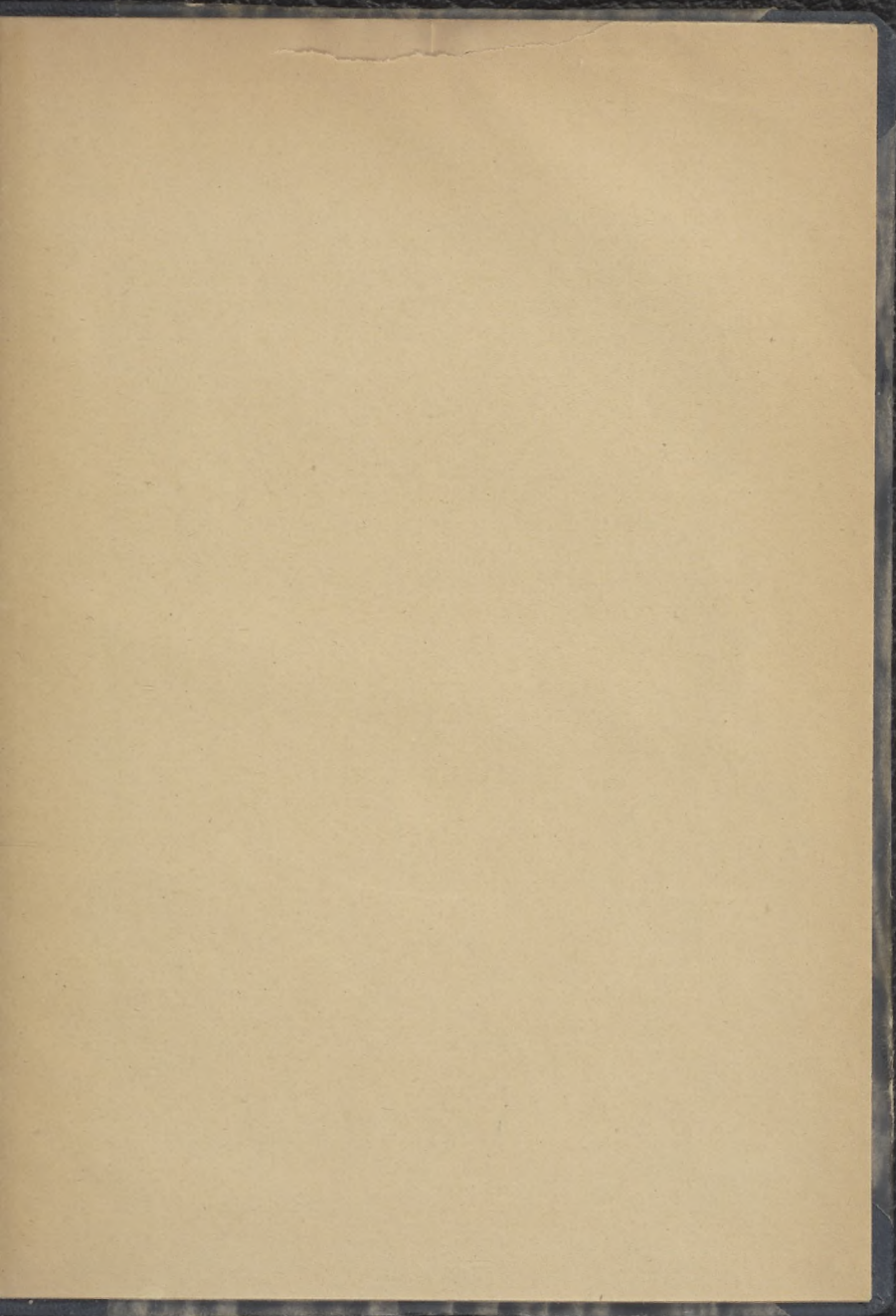
kie słońca i wszystkie kwiaty świata zaścielają  
im drogę...

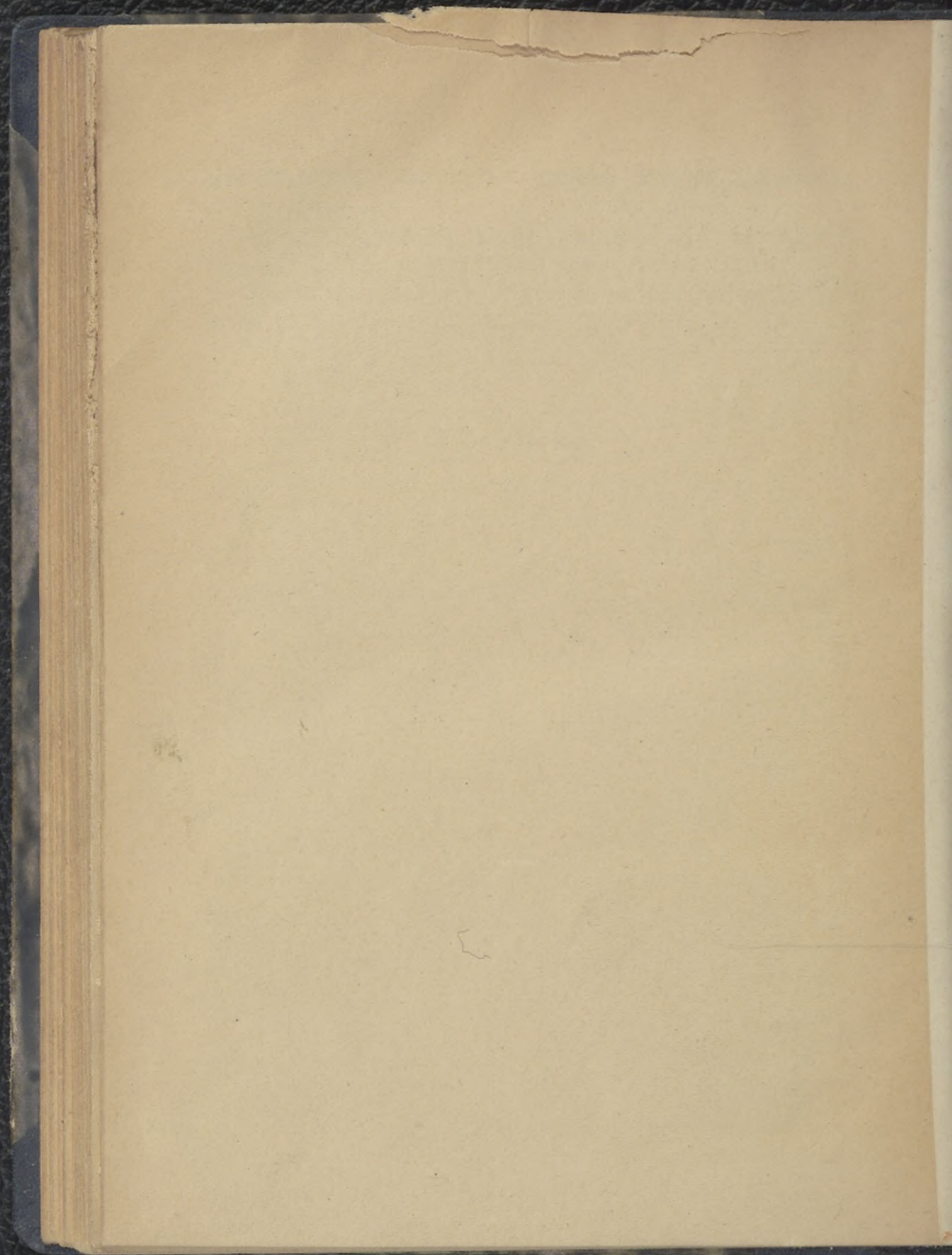
Przytulonych do siebie, oprzędzały marzenia,  
dawno rojone sny, miraże szczęsnych krain...

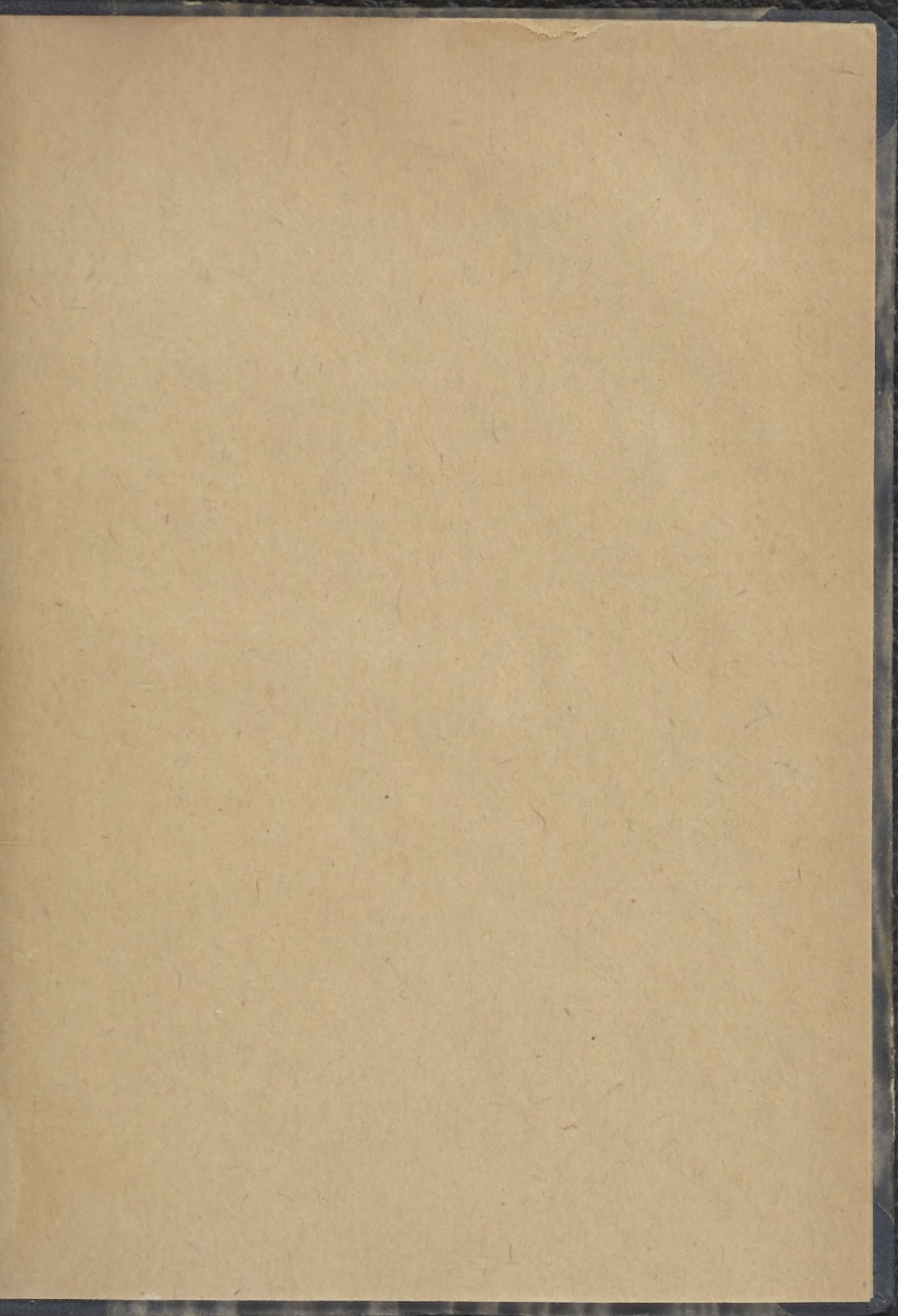
Świt ich dopiero oprzytomnił i powitał ju-  
trzenką nowego, uśmiechniętego dnia.

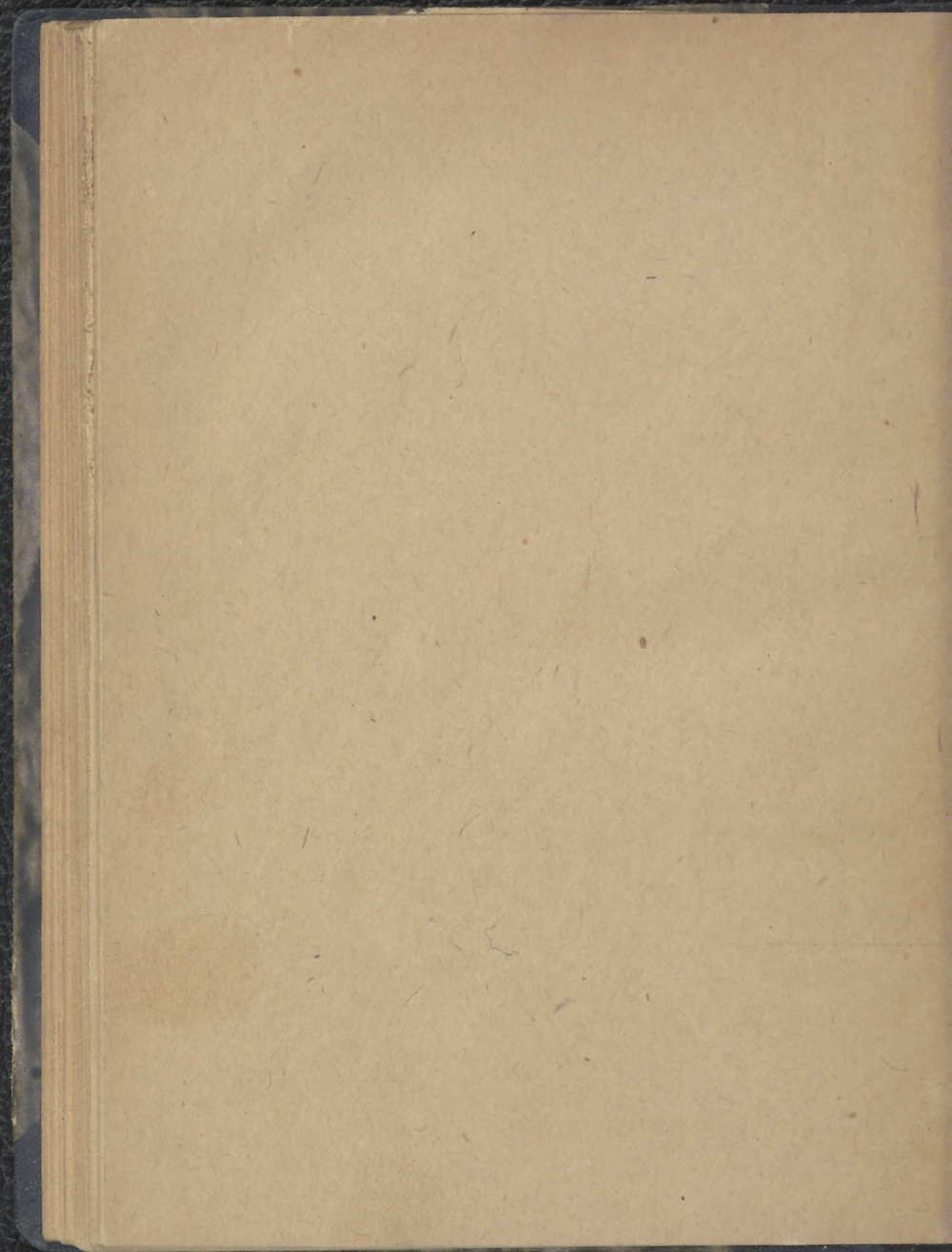
KONIEC.

Borzęcin, 24 czerwca 1928 r.











Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001021788442



600204

---

---